DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



RYS. PATRYK KOCH, FOT. UNSPLASH (5), THE PUBLIC DOMAIN REVIEW (5), ROMIRI/SHUTTERSTOCK (P)

Czego ci szarlatan nie powie

/ M3

Wywiad / M8

Dlaczego Francuzi chcą Marine Le Pen

Jej wyborcy to już nie tylko robotnicy i mieszkańcy podupadających miasteczek. Marine Le Pen zdobywa poparcie emerytów i zamożnych Paryżan

mówi Gilles Ivaldi

Izrael / M16

Nowy rząd, stara polityka

Na kilka dni przed wyborami koalicja Netanjahu i opozycja Eisenkota idą na remis. Istotny będzie wynik nawołującej do pokoju lewicowej koalicji

korespondencja Karoliny Wójcickiej

Idee / M24

Poza państwem i rynkiem

Ekonomia jest czymś szerszym niż wprowadzanie pieniędzy do różnych sfer życia. Dotyczy w gruncie rzeczy wszelkiego zachowania w warunkach niedoboru

tłumaczy Erik Angner

9 772080 674051 43

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 207 (6876), 23–25 PAŹDZIERNIKA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl 3965647923

USA / M**12**

Ciszej nad tą MAGA

Przed wyborami do Kongresu coraz więcej republikanów dystansuje się do Donalda Trumpa z obawy, że bliskie relacje z prezydentem przekreślą ich szanse na mandat

pisze Emilia Świętochowska

Wywiad / M**19**

Potwierdzanie normalności

Internetowe algorytmy mogą ułatwiać kontakt z treściami skrajnymi i pośredniczyć w znajdowaniu osób o podobnych poglądach, pomagając w tworzeniu społeczności

mówi Maria Moulin-Stożek



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Jak ukraińska narracja historyczna nie liczy się z naszą wrażliwością

Jan Wróbel

To aż dziwne, jak bardzo narracja historyczna większości politycznych elit ukraińskich nie liczy się z polską wrażliwością. Obserwujący Ziemię kosmici mogliby odnieść wrażenie, że dla Ukrainy Polska to kraj na antypodach, kraj, o którym mało się wie, bo Kijów i Lwów są tu, gdzie są, a Warszawa i Wrocław leżą gdzieś między Nową Zelandią a Fidżi. Być może mieszkańcy tych egzotycznych lądów coś tam sobie myślą o UPA, Wołyniu i Szuchewyczu, ale, szczerze mówiąc, kto by się tym przejmował.

W 2000 r. wywiad z Marią Janion – a już szczególnie jego tytuł: „Do Europy tak – ale z naszymi umarłymi" – narobił nad Wisłą sporo zamieszania. Było to jeszcze w czasach, w których Familia (doskonałe określenie Rafała Ziemkiewicza) rozdawała karty w polskiej polityce historycznej. W skrócie Familia, której walcem była potężna wtedy „Gazeta Wyborcza", arbitralnie ustanowiła katalog pożądanych postaw intelektualnych – a także tych zwalczanych i niedopuszczalnych. Gros polskiej inteligencji biegł za wskazówkami płynącymi z góry wręcz z niesmaczną gorliwością. Wywiad z Janion, zresztą sam w sobie ciekawy i inspirujący, także interpretowano jako kanoniczny.

Wynikało z niego, że mając europejskie aspiracje, nigdy nie powinniśmy zapominać o czarnym dziedzictwie narodowej historii. Z wywiadu nie tyle płynęła myśl, by w UE nie rozpuścić się w niepamięci o specyfice naszych dziejów, lecz by wiecznie pamiętać o moralnej nędzy tej specyfiki. Nieco przesadzam, by oddać emocje czytelnicze powszechne ćwierć wieku temu. Dla wielu było to wezwanie piękne, godne najlepszych tradycji polskiej inteligencji, która z wdziękiem lęka się własnego narodu. Dla wielu natomiast było to kolejne wezwanie, by Lepsi pełnili rolę policjantów myśli wobec Gorszych, tych chętnych, by przy lada okazji budzić narodowe demony. Wrogowie takiej wizji Polski pomstowali na Janion i Familię, co tylko umacniało wiarę, że demon Polski istnieje. I tak dalej.

Ciekawa to była wymiana emocji oraz, jednak, argumentów. Zmagania o kształt polskiej tożsamości zresztą trwają. A w Kijowie, gdzie toczone w środowiskach historyków i publicystów trudne debaty nie drasnęły znaczącej większości elit politycznych, i tak wcale nie jest lepiej.

©℗



FOT. CARL COURT/GETTY IMAGES

Analiza / M**6**

Francja na ostrym wirażu

Wbrew medialnym pozorom głównym problemem V Republiki nie są uliczne zamieszki, lecz oportunizm elit niezdolnych do rozwiązania realnych problemów społecznych

zauważa Witold Sokała

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Agata Eichler,
Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz, Izabela Rakowska-Boroń (tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ℗ – znak odpłatności; ©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

eprasa.pl 3965647923

Czego ci szarlatan nie powie



RYS. PATRYK KOCH, FOT. UNSPLASH (5), THE PUBLIC DOMAIN REVIEW (5), ROMIRI/SHUTTERSTOCK

Wykałaczka przeciw zawałowi, rozpuszczalnik przemysłowy na zdrowie, pole torsyjne na wszystko. Podczas 20. konferencji „Czego ci lekarz nie powie" nie pada ani jedno pytanie sprawdzające, nie ma miejsca na wątpienie, nie mówiąc już o sprostowaniu

Mirosław

Wlekły

Na stoisku wody Kangen Barbara Karbowiak polska dystrybutorka urządzenia podobno zmieniającego jej strukturę tłumaczy starszemu małżeństwu, że zrozumienie tego to nie kwestia wiary, lecz dowodów. Dowodami mają być wyniki jej badań i znacznie lepszy stan zdrowia. Chwilę później pokazuje mi sprawcę tego cudu: jonizator z Japonii za 4,6 tys. euro. Na produktach jest znaczek producenta otoczony unijnymi gwiazdkami i napis „European Union". Dystrybutorka tłumaczy, że urządzenie ma japoński certyfikat, a gwiazdki to po prostu logo. Jak dla mnie, wygląda na próbę wprowadzenia konsumenta w błąd.

Woda w jonizatorze przechodzi przemianę i wypływa dwoma strumieniami: pitnym i użytkowym. Mają się przy tym uwalniać cząsteczki wodoru molekularnego, co zmienia płyn w silny przeciwutleniacz, który odkwasza organizm i działa zbawiennie nie tylko na ludzi, lecz także na rośliny. Na stoisku oczyszczają się w niej z pestycydów pomidorki koktajlowe. Woda cud.

– Oczywiście o wpływie na nasze zdrowie za wiele powiedzieć nie możemy – dystrybutorka przerywa zachęcającą opowieść, bo „takie mamy prawo". Zdradza tylko, że istnieją tysiące badań potwierdzających skuteczność takiej wody. Ma ona pomagać organizmowi uruchomić procesy samoleczenia. – Wiedza na ten temat jest spora, tylko trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Na mnie działa niesamowicie, ale to też nie może być nigdzie napisane – mówi.

Nie może, bo „woda strukturalna" to pojęcie pseudonaukowe, a zarówno porządkowanie struktury, jak i właściwości zdrowotne takiej wody są marketingowym mitem.

Stoisk z cudownymi preparatami lub zwykłymi, acz kosztownymi suplementami jest w bełchatowskiej Sali Gigantów Mocy więcej. 3 października 2026 r. Targi Umiejętności Dbania o Zdrowie towarzyszyły tam już 20. edycji konferencji „Czego ci lekarz nie powie". Pierwszej po tym, jak w lipcu Senat przyjął lex szarlatan, którą prezydent Karol Nawrocki skierował do Trybunału Konstytucyjnego. Głównym celem ustawy była walka z oszustwami, dezinformacją medyczną i niebezpiecznymi praktykami pseudomedycznymi. Miały za nie grozić kary finansowe do 1 mln zł.

Prelegenci i wystawcy w Bełchatowie jeszcze czują się bezkarni. Spaceruję między stoiskami. Wydawnictwo Molpharma sprzedaje książki o właściwościach muchomora czerwonego. Ekspedientka poleca jego stosowanie – doustnie i na skórę – bo sama przekonała się o jego skuteczności. Pytam, co oznacza logo Polskiej Organizacji Zdrowia na książkach o muchomorach. – Że te książki zostały wydane zgodnie z normami – słyszę. Jakimi? Tego nie wie. Nie może wiedzieć, bo Polska Organizacja Zdrowia to nie instytucja państwowa, lecz prywatna fundacja z siedzibą w Ustroniu, a autor owych książek jest akurat jej prezesem.

Ekspedientka mówi cicho, bo sanepid przestrzega przed spożywaniem muchomora, a w Polsce nie wolno handlować produktami zawierającymi psychoaktywne substancje – muscymol i kwas ibotenowy – mogą bowiem prowadzić do zgonu lub wywołać ciężkie zatrucia.

– Powtarzająca się konsumpcja może prowadzić do uszkodzeń nerwów obwodowych, a nawet uszkodzeń mózgu. Dlatego Państwowa Inspekcja Sanitarna zdecydowanie przestrzega przed jego spożywaniem w każdej formie, w tym suszu, ekstraktów czy innych produktów – informuje mnie Katarzyna Dziurna, rzeczniczka prasowa Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Warszawie.

Na kolejnym stoisku można kupić urządzenia z opisem w języku rosyjskim. Działanie produkowanego w Petersburgu plastikowego cacka w kształcie jajka bazuje na niepotwierdzonej naukowo teorii o meridianach, czyli sieci niewidocznych kanałów energetycznych, którymi w ciele człowieka przebiega życiowa energia. – Na szczęście Rosja nie jest jeszcze skażona zachodnią cywilizacją – mówi jedna z klientek stoiska. – Tylko tam zachowuje się jeszcze zdrowy rozsądek – potwierdza druga.

Patrycja Ślusarczyk, naturoterapeutka z Polanicy, poleca tu m.in. wynalezione przez bliżej nieznanego „geniusza ▷

eprasa.pl 3965647923

farmakologicznego" krople, które – jej zdaniem – nie są zwykłym lekiem na jakieś schorzenie, lecz korygują funkcjonowanie całego organizmu. Przywracają ludziom zdrowie, młodość i witalność.

Pokazuje mi też rosyjski „ultraczysty kwas pangamowy". Poleca go do kroplówki jako środek detoksykacyjny. I daje przykład pacjentki z przerzutami nowotworu, która po trzech tygodniach jego stosowania „zeszła z morfiny". Oczywiście przyjmowała go w tajemnicy przed lekarzami. W wielu krajach bowiem kwas pangamowy jest zakazany. W Polsce nie, ale jego stosowanie budzi kontrowersje, bo nie ma dowodów klinicznych na jego skuteczność. Kwasu pangamowego nie ma w aptekach, nie można go też sprzedawać jako suplementu. Przeświadczona o jego skuteczności Ślusarczyk zaleca klientom zarówno ten, jak i inne rosyjskie specyfiki. Ostatnio, jak twierdzi, licznej grupie z zakrzepicą po szczepieniu lub z zatruciem grafenem po znieczuleniu u dentysty.

– Uważam, że instytucje publiczne powinny znacznie uważniej oceniać, jakim wydarzeniom udzielają patronatu i promocji – mówi mi prof. Agnieszka Szuster-Ciesielska, biolożka specjalizująca się w wirusologii i immunologii z Katedry Wirusologii i Immunologii Instytutu Nauk Biologicznych Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, członkini eksperckiego zespołu doradczego ds. bezpieczeństwa informacyjnego RP przy departamencie bezpieczeństwa narodowego KPRM. – Nie powinny swoim autorytetem wspierać obietnic leczenia bez dowodów. Nie mam pretensji do ludzi, którzy przychodzą na takie wydarzenia szukać pomocy. Chciałabym, żeby równie łatwo mogli uzyskać rzetelną informację, czas na rozmowę i dostęp do akademickiego leczenia. Odpowiedzialności oczekuję przede wszystkim od tych, którzy występują jako eksperci. Wolność gospodarcza nie powinna być usprawiedliwieniem dla zarabiania na obietnicach terapeutycznych, których skuteczność nie została udowodniona.

Bełchatów ma klimat?

Organizatorem konferencji „Czego ci lekarz nie powie" (najtańszy bilet kosztuje 225 zł) jest Instytut Promowania Zdrowia z podpoznańskiego Suchego Lasu. W Poznaniu konferencja się jednak nie przyjęła, bo przeciwni jej byli prezydent miasta, środowisko naukowe i medyczne oraz Wielkopolska Izba Lekarska. Z tych samych powodów po kilku edycjach impreza musiała się wynieść z Gliwic. W Rzeszowie kategorycznie sprzeciwiała się jej miejscowa rada lekarska. Bezpieczną przystań znalazła w końcu w Bełchatowie, rządzonym przez pierwszego w Polsce prezydenta wywodzącego się z Konfederacji.

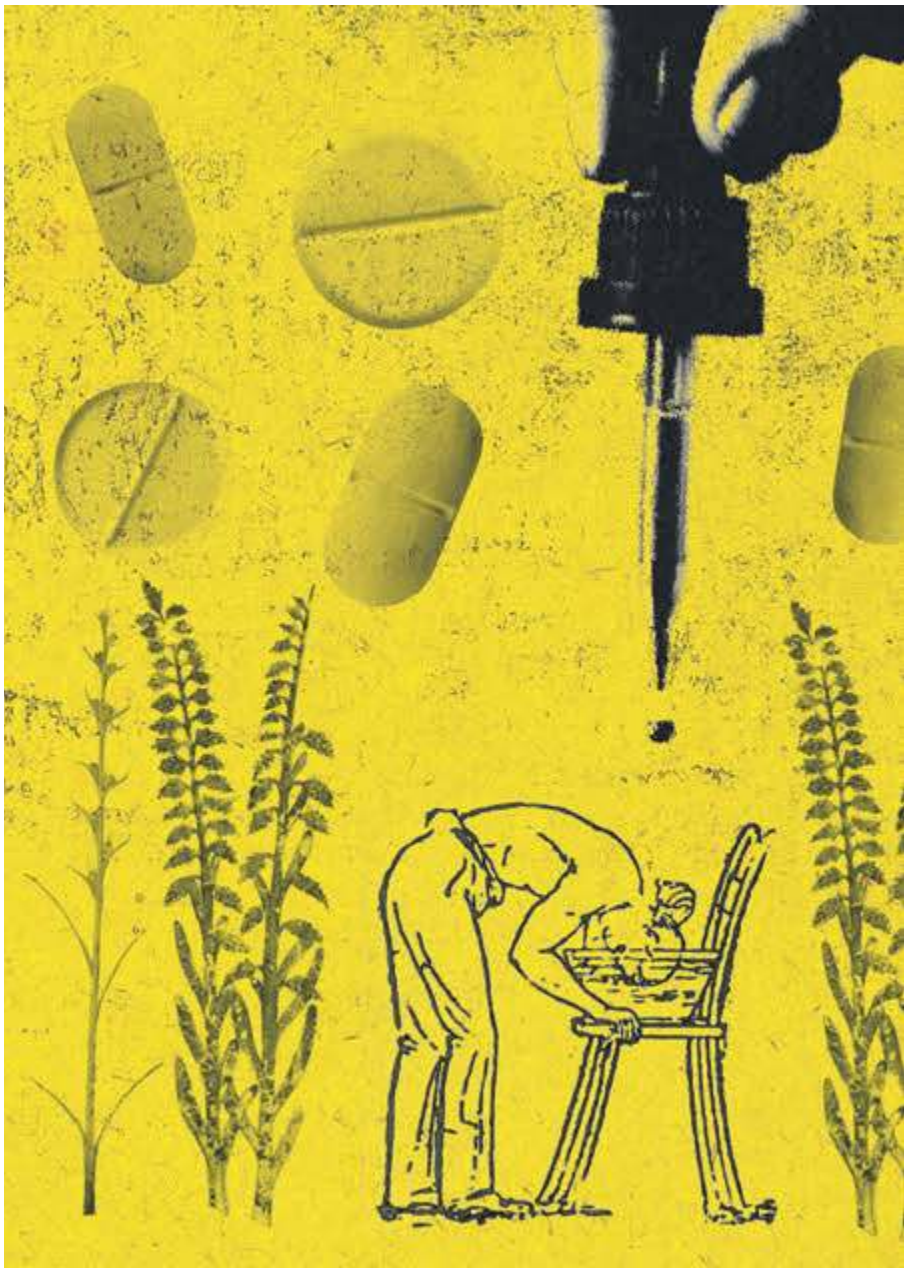
Chciałbym z nim o tym porozmawiać, skończyło się jednak na oświadczeniu wydanym przez jego rzeczniczkę. Kryspina Rogowska napisała mi, że organizator zgodnie z prawem wynajął pomieszczenie w Miejskim Centrum Kultury, a do kompetencji MCK nie należy cenzurowanie poglądów, spraw światopoglądowych, systemów wierzeń czy naukowej wartości prezentowanych poglądów. Poza tym placówka nie objęła wydarzenia patronatem, a udział w nim był dobrowolny. Rzeczniczka dodaje, że wnętrza te „wykorzystywane są do organizacji bardzo różnych wydarzeń".

Nie wszystkim jednak czas poświęca sam prezydent. A jak się dowiadujemy na konferencji, w przeddzień jej otwarcia Patryk Marjan spotkał się z jej uczestnikami. Ela Jamroży wtajemniczała go np. w eksperyment, podczas którego niezwykle wąską wiązką elektromagnetyczną z odległości 5 km uderzała w pewien komisariat policji – w efekcie z jej komputerów miały zniknąć wszystkie dane, a układy scalone ulec zniszczeniu. O wrażenia – skoro poświęcił czas prelegentom – chcę spytać prezydenta osobiście. Rzeczniczka już jednak nie odpowiada.

– Dla mnie powoływanie się w tej sytuacji na wolność słowa jest unikaniem odpowiedzialności – komentuje prof. Szuster-Ciesielska. – Nikt nie musi bezkrytycznie przyjmować wszystkiego, co mówi lekarz czy naukowiec, ale jeśli ktoś doradza choremu, jak ratować życie, to powinien umieć wykazać, że jego metoda działa. Nie wystarczy powiedzieć: „Mam prawo do własnego zdania".

Więcej można się dowiedzieć w spożywczaku naprzeciwko Ośrodka Kultury. Jedna z wystawczyń robi zakupy, a przy okazji wręcza wizytówkę ekspedientce. Ta dziwi się, dlaczego taka konferencja zaszczyca akurat Bełchatów.

– Widocznie macie tu odpowiedni klimat. A może działa tu wielu naturopatów – domyśla się wystawczyni.



Lex szarlatan w trybunale

Profesor Szuster-Ciesielska stwierdzi potem, że w związku z takimi „konferencjami" domagałaby się oceny konkretnych treści i ofert: co obiecywano, na jakiej podstawie, czy sprzedawano związane z tym produkty lub usługi i czy narażano odbiorców na niebezpieczeństwo. – Jeżeli dochodzi do naruszenia prawa, to powinny zostać wyciągnięte konsekwencje, a nie mieć miejsce kolejna bezradna dyskusja. Potrzebujemy też przepisów pozwalających przerwać niebezpieczną działalność, zanim pojawią się poszkodowani, z możliwością sądowej kontroli takich decyzji. Dlatego popieram rozwiązania przewidziane w ustawie określanej jako lex szarlatan. Skierowanie jej do Trybunału Konstytucyjnego przed podpisaniem odsunęło jednak wejście tych przepisów w życie.

Otwierający konferencję Radek Pogoda, konsultant biznesowy i komentator internetowy, nazywa niepodpisaną ustawę „lex big pharma" sugerując, że to prawo, którego założeniem jest tak naprawdę nie ochrona chorych, lecz promowanie koncernów farmaceutycznych. A Grażyna Cichosz, profesor nauk rolniczych, za prawdziwą szarlatanerię uważa długotrwałe zatruwanie dzieci lekami i sugeruje, by tą ustawą ścigać raczej nieskuteczne jej zdaniem leczenie w naszych szpitalach.

W swoim wystąpieniu – wymierzonym w media, które zamiast informować o jego działalności, zajmują się atakowaniem go – mówi o tym także Jerzy Zięba, największa gwiazda polskiej naturopatii. Szarlatan, antyszczepionkowiec, znachor – tak można go nazywać zdaniem sądu i nie powinno to być przedmiotem sporu.

Zięba od lat straszy prześwietlających jego działalność dziennikarzy i pozywa redakcje. Za nazwanie go szarlatanem podał do sądu Marcela Kiełtykę ze stowarzyszenia Demagog. Sąd Okręgowy w Warszawie (wyrok prawomocny) nie dopatrzył się jednak w tym stwierdzeniu niczego nieprawdziwego i latem 2024 r. uznał, że „w świetle zaprezentowanego licznymi dowodami sposobu prowadzenia przez powoda Jerzego Ziębę działalności, jego postawy co najmniej lekceważącej środowisko medyczne i naukowe – zaliczenie go do bliżej nieokreślonego grona szarlatanów nie narusza w żadnym stopniu jego dóbr osobistych". Mało tego, sąd uznał słowo „szarlatan" nie tylko za trafną, lecz wręcz umiarkowaną krytykę.

W sierpniu Zięba był członkiem delegacji, która złożyła w Kancelarii Prezydenta petycję o zawetowanie ustawy. Podpis pod nią złożyło ok. 25 tys. osób.

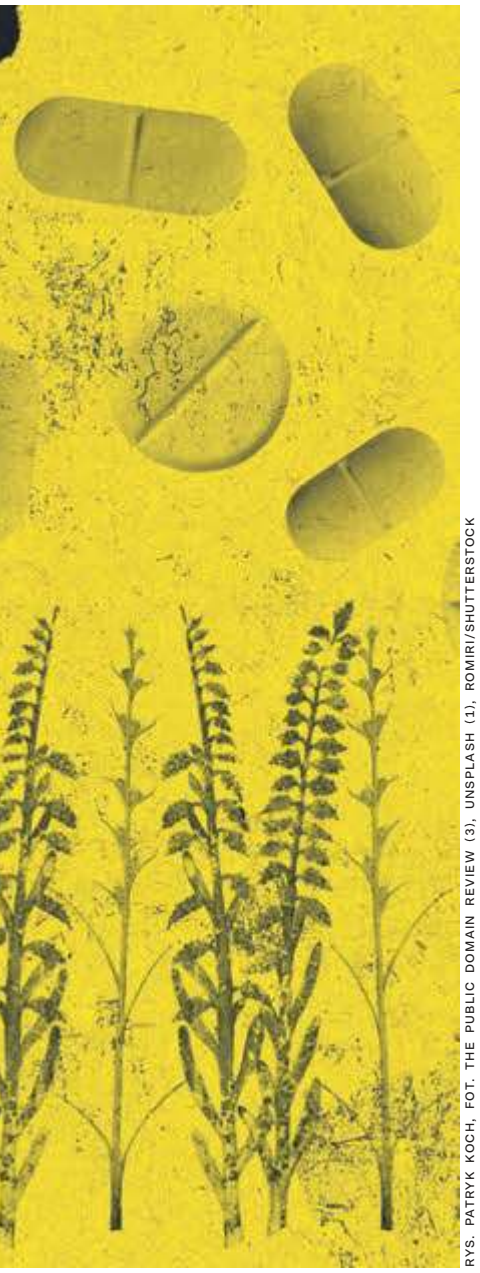
– To byłaby katastrofa dla nas wszystkich – komentuje w Bełchatowie Zięba i opowiada, jak w prezydenckiej kancelarii tłumaczył, dlaczego przez ustawę mogą umierać ludzie i że jeśli prezydent ją podpisze, to będzie miał krew na rękach.

Kancelaria Prezydenta oświadczyła później, że spotkanie miało charakter kurtuazyjny i było realizacją „prawa obywateli do kierowania petycji do organów władzy publicznej, zagwarantowanego w Konstytucji RP oraz ustawie o petycjach". Zięba nie daje jednak za wygraną. W Bełchatowie ujawnia list w sprawie ustawy, który skierował do prezydenta w nadziei na osobiste spotkanie. Pisał w nim: „Lekarze polscy mogliby leczyć choroby uważane w Polsce za nieuleczalne. Wielu lekarzy już to robi w tzw. podziemiu medycznym. Polska stałaby się centrum leczenia takich chorób. To oczywiście jest bardzo proste do udowodnienia". Prezydent do dziś spotkaniem z Ziębą się nie zainteresował, ustawę jednak skierował do TK, co w praktyce oznacza, że może ona nigdy nie wejść w życie.

Były sprzątacz, kucharz i nurek, absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej może więc zupełnie bezkarnie zalecać na ciężkie choroby dożylne wlewy z witaminy C; absolwent technikum gastronomicznego opowiadać o usuwaniu rtęci z organizmu, fizyczka jądrowa, której orężem jest „kryształowe serce z Boską cząstką zawieszoną w polu torsyjnym", zapewniać o wyleczeniu dziesiątek ludzi; a technolożka żywności specjalizująca się w mleczarstwie rozprawiać o przyczynach autyzmu.

O informacjach, poglądach i zaleceniach, które usłyszałem w Bełchatowie, opowiadam w Ministerstwie Zdrowia. Pytam, jak resort wraz z podległym mu Urzędem Rejestracji Produktów Lecz-

eprasa.pl 3965647923



RYS. PATRYK KOCH, FOT. THE PUBLIC DOMAIN REVIEW (3), UNSPLASH (1), ROMIRI/SHUTTERSTOCK

niczych reagują na szerzenie tego typu przekazów. Czy są w stanie przeciwdziałać – jeśli uznają to za groźne – np. „leczeniu" ciężkich chorób wlewami z witaminy C lub z DMSO czy stosowaniu w profilaktyce zdrowotnej tego ostatniego lub olejku rycynowego? Dowiaduję się, że zagadnienia te były przedmiotem dialogu z organizacjami pacjentów, który ministerstwo prowadziło w związku z pracami nad lex szarlatan. Na razie – czekając na rozstrzygnięcie Trybunału Konstytucyjnego – resort przypomina, że art. 58 ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty przewiduje odpowiedzialność karną za udzielanie bez uprawnień świadczeń zdrowotnych polegających na rozpoznawaniu chorób oraz ich leczeniu („Kto bez uprawnień udziela świadczeń zdrowotnych polegających na rozpoznawaniu chorób oraz ich leczeniu, podlega karze grzywny. Jeżeli sprawca wskazanego wyżej czynu działa w celu osiągnięcia korzyści majątkowej albo wprowadza w błąd co do posiadania takiego uprawnienia, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku"). Postępowania w związku z tym toczą się na podstawie przepisów procedury karnej i są prowadzone przez uprawnione organy – policję, prokuraturę oraz sądy powszechne.

Tymczasem prezydent Karol Nawrocki proponuje własne rozwiązanie prawne, które – jak przekazuje jego rzecznik – będzie skutecznie chronić pacjentów, a szarlatanów karać surowo i bezwzględnie. Ma precyzyjnie uderzać w oszustów, jednocześnie chroniąc uczciwych przedsiębiorców z branży zielarskiej, dietetycznej czy medycyny komplementarnej. Prezydencki pomysł przewiduje wprowadzenie do kodeksu karnego przestępstwa nakłaniania do niebezpiecznych decyzji zdrowotnych oraz surowe kary, do 10 lat pozbawienia wolności w przypadku ciężkiego uszczerbku na zdrowiu i 15 lat w razie doprowadzenia do śmierci pacjenta.

Wiedza alternatywna

Na razie jednak szarlataneria i zszerzenie dezinformacji są bezkarne. Tylko ta jubileuszowa edycja konferencji dostarcza nam przykładów takiej „wiedzy".

Jak twierdzi Radek Pogoda, Amerykańskie Towarzystwo Diabetologiczne zaleca cukrzykom na śniadanie głównie węglowodany i cukier, co jest narzędziem do podkręcania sprzedaży insuliny. W rzeczywistości instytucja ta poleca komponowanie śniadań z uwzględnieniem równowagi białek, tłuszczów, niskoskrobiowych warzyw i węglowodanów złożonych.

Jerzy Zięba stwierdza, że polskim noworodkom aplikuje się wywołującą autyzm szczepionkę przeciwko WZW typu B, chociaż wirusem tym można się zakazić, dopiero podejmując współżycie płciowe. W rzeczywistości jest wiele możliwości zakażenia się tym wirusem, droga płciowa nie jest jedyną, poza tym szczepionka ta nie wywołuje autyzmu.

Kasia Densem, zwana „królową oleju rycynowego", promuje smarowanie ciała olejkiem rycynowym i DMSO. Olejek rycynowy ma silne działanie przeczyszczające, a DMSO to rozpuszczalnik przemysłowy, środek czyszczący, np. do usuwania powłok malarskich. W chemii stosuje się go jako czynnik utleniający. Sporadycznie, w ściśle określonych przypadkach, używa się go w medycynie. Niektórzy wierzą jednak, że pomaga w przypadku tak skrajnie różnych przypadłości jak dna moczanowa, rozedma płuc, zaburzenia psychiczne czy nowotwory.

Grażyna Cichosz twierdzi, że w Polsce zaleca się dietę wysokowęglowodanową. To nieprawda. W Polsce oficjalnie zalecanym modelem jest opracowany przez Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego PZH – PIB we współpracy z Narodowym Centrum Edukacji Żywieniowej Talerz Zdrowego Żywienia, na który składa się 50 proc. warzyw i owoców, 25 proc. produktów zbożowych, najlepiej pełnoziarnistych, i 25 proc. produktów białkowych. Choć są tu węglowodany, to nie jest to dieta wysokowęglowodanowa, do tego poleca się spożywanie węglowodanów złożonych, a nie prostych.

Kolejne stwierdzenia raczej już nie wymagają komentarza. Ciastka Oreo obniżają poziom cholesterolu skuteczniej niż statyny (Jerzy Zięba). Zawał serca można powstrzymać wykałaczką, uciskając nią parokrotnie miejsce między nosem a ustami (Jerzy Zięba). W latach 2012–2023 potencjał intelektualny Polaków obniżył się o 30 proc. Elity zdecydowały, że mleko i masło mają zniknąć z naszej diety, bo dotychczas rozumni ludzie mają się podporządkować tym wąskim elitom (Grażyna Cichosz). W 1930 r. rozpoczął się ostatni etap skanowania rzeczywistości, a więc początek końca; żyjemy w magmie elektromagnetycznej, a najpotężniejsze zagrażające nam serwery znajdują się pomiędzy Damaszkiem a Kairem; pole torsyjne to sygnał od absolutu; a prawdziwą Trójcą Świętą są Lucyfer, Barabasz i Jezus (Ela Jamroży, funkcjonująca też pod pseudonimem Pani Twardowska, informuje ponadto, że uruchomiła usługę „emergency" i odtąd dzwonią do niej lekarze z całego świata, gdy nie mogą poradzić sobie z trudnym przypadkiem). Istnieje pararząd, który rządzi światem, i został do tego stworzony specjalny program, w związku z czym nie dziwią następujące po sobie negatywne zjawiska, które nagle dotykają wszystkich miejsc na ziemi, jak „rodzaj jakiejś grypy" (COVID-19) czy migracje (Radek Pogoda).

Tego typu konferencje to miszmasz wzajemnie przeczących sobie teorii. Jerzy Zięba optuje za dietą ketogenną, tymczasem inni na stoiskach promują wyciskarki do soków z warzyw i owoców albo makarony. Grażyna Cichosz opowiada o wyjątkowej toksyczności zbóż i olejów roślinnych, a tuż obok można je kupić jako wyjątkowo zdrowe produkty. Ela Jamroży straszy polem elektromagnetycznym i przestrzega przed wytwarzającymi je urządzeniami diagnostycznymi, tymczasem za ścianą stoi kolejka do badania metodą So-check.

Niedawno wraz ze stowarzyszeniem Pravda wziąłem ją pod lupę. To francuska franczyza. Na polskiej stronie padają sformułowania: „diagnoza", „pacjent", „lekarz" czy „leczenie", a na francuskich producent wyraźnie zaznacza, że to produkt lajfstajlowy, który nie może zastępować profesjonalnej diagnozy, nie służy do inicjowania leczenia, lecz do promocji zdrowego stylu życia. W Bełchatowie na optyczny pomiar dłoni czeka długa kolejka. Jedno szybkie „badanie" kosztuje 200 zł.

Na swoją kolej czeka Lidia, artystka z Opola. Na konferencji jest po raz pierwszy. Wskazuje na baner z reklamą książki, czyta hasło: „Książka, na którą wszyscy czekali". Chodzi o dwutomową publikację „Quo Vadis Medicine" Huberta Czerniaka, kolejnej gwiazdy konferencji. To były lekarz, którego sąd lekarski całkowicie pozbawił prawa wykonywania zawodu. Antyszczepionkowiec, głosiciel niezgodnych z nauką teorii. Obwołał się kapłanem Kościoła Naturalnego. Czerniak pomaga w ten sposób, że – jak opisała Wirtualna Polska – kobiecie chorej na raka zalecił suplementy za 10 tys. zł, w tym wlewy dożylne wspomnianego już rozpuszczalnika DMSO. Śledczym tłumaczył potem, że kobiety nie leczył, tylko jako kapłan doradzał, jak zmienić swoje życie. Nie pobiera też zapłaty za porady medyczne. Pieniądze to wsparcie jego Kościoła.

Pytam panią Lidię, czego oczekuje po konferencji. Mówi, że wiedzy, jak sobie pomóc bez trującej chemii. Pomstuje na lex szarlatan i nazywanie szarlatanami ludzi, którzy naprawdę chcą nam pomóc. – Bo lekarskie procedury raczej nas uszkadzają, a nie leczą – mówi.

Pani Lidia wierzy w naturopatów. Jej męża, jak twierdzi, z ciężkiej choroby wyciągnęły wlewy witaminy C. Jest przekonana, że środowisko lekarskie ukrywa przed nami prawdę i uniemożliwia skuteczne sposoby leczenia. Po badaniu So-check spodziewa się wskazówek, co dalej zrobić ze swoim zdrowiem.

Jednak prawdziwą gwiazdą konferencji jest tym razem Grażyna Cichosz, znana przede wszystkim z udzielenia wywiadu Bogdanowi Rymanowskiemu, który nie komentował ani nie podważał jej niezgodnych z nauką przemyśleń i dezinformacji. Do 2020 r. pracowała w Katedrze Mleczarstwa na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, który odcina się teraz od kontrowersyjnych i nieudowodnionych naukowo tez swojej byłej pracownicy.

„Całkowicie niedopuszczalne jest posługiwanie się autorytetem akademickim dla prezentowania treści sprzecznych z obowiązującym stanem wiedzy naukowej. Skutki dezinformacji mogą prowadzić do realnych zagrożeń dla zdrowia, życia i dobrostanu społecznego" – podkreślił po głośnym wywiadzie także prof. Paweł Golik, przewodniczący Rady Upowszechniania Nauki PAN.

W Bełchatowie Cichosz opowiada o oczywistym jej zdaniem związku autyzmu z glifosatem. Podczas wykładu używa skomplikowanych nawet dla umiarkowanie zorientowanych w biologii czy medycynie osób pojęć, przywołuje jakieś dane, badania, fakty miesza z własnymi przemyśleniami.

Techniki dezinformacyjne stosowane przez Cichosz szeroko opisało w 2025 r. Stowarzyszenie Demagog. Wśród nich bazowanie na syndromie oblężonej twierdzy, co ma wywoływać strach i budować podział – „my" kontra wrodzy „oni", czyli: globaliści, Mercosur, Unia Europejska, sanepid, wegetarianie. Stowarzyszenie Demagog podaje też często stosowany przez Cichosz, atrakcyjny dla odbiorców, bo uproszczony i wskazujący „winnego" sposób budowania wypowiedzi: teza A (często niezweryfikowana) + teza B (luźno powiązana) = C, czyli uproszczona, przesadna konkluzja, która idealizuje jedno rozwiązanie (np. czerwone mięso) i demonizuje inne (np. rośliny strączkowe).

W Bełchatowie Cichosz mówi więc, że glifosat wywołuje autyzm i wiadomo o tym od dawna. Oraz że u zaszczepionych dzieci 27-krotnie wzrasta liczba wszelkich chorób w stosunku do niezaszczepionych, toksyny zawarte w genetycznie zmodyfikowanej żywności doprowadzają do samostrawienia jelit, zboża i oleje roślinne to najbardziej toksyczne produkty spożywcze. COVID-19 nazywa „plandemią" (w domyśle: pandemia była wprowadzeniem w życie jakiegoś planu). Dorzuca, że w Ukrainie nie było żadnej napaści, tylko trwa tam konflikt.

Po wykładzie dostaje długą owację na stojąco. ©℗



FOT. DAWID LINKOWSKI/MAT. PRASOWE

Mirosław

Wlekły

reporter, autor książek non fiction i teatralnych spektakli dokumentalnych oraz audioserialu „Spiskowa teoria wszystkiego"

eprasa.pl 3965647923

Świat

Francja na ostrym wirażu

Wbrew medialnym pozorom głównym problemem Francji wcale nie są uliczne zamieszki, lecz oportunizm i cynizm znacznej części elit niezdolnych do rozwiązania realnych problemów społecznych i ekonomicznych. A w konsekwencji – także uwiąd międzynarodowego autorytetu i sprawczości V Republiki

Witold

Sokała

Zaczęło się kilka tygodni temu na relatywnie ubogich północnych przedmieściach Paryża w szkołach średnich i wokół nich, co niektórzy próbują dzisiaj kwestionować. Pierwsze protesty dotyczyły właśnie złych warunków nauki, zarówno w sensie fizycznym (np. jakości i funkcjonalności budynków), jak i merytorycznym (braku nauczycieli, a w konsekwencji przeciążenia pracą tych, którzy wbrew wszystkiemu wciąż próbowali nieść kaganek oświaty także swym mniej zamożnym rodakom). Nielegalni migranci, czyli ulubiony polityczny straszak współczesnej Europy, z dość oczywistych względów akurat w tej fazie wydarzeń uczestniczyli tylko w minimalnym stopniu.

Zła macocha

Owszem byli wśród protestujących potomkowie migrantów całkiem legalnych. Dzieci, wnuki i nierzadko prawnuki niegdysiejszych przybyszów z Algierii, Lewantu czy z dawnych francuskojęzycznych kolonii w Afryce Sub-



Ulica w Marsylii po proteście przeciwko wzrostowi kosztów życia we Francji. 18 października 2026 r.

eprasa.pl 3965647923

saharyjskiej, nawet z Indochin i innych egzotycznych zakątków świata – przez pokolenia w znoju budujących francuski dobrobyt. Okazało się bowiem, już ponad wszelką wątpliwość, że nie budowali go dla siebie ani swych potomków, lecz dla relatywnie wąskiej elity. Splot czynników zewnętrznych sprawił zaś, że to kolejne pokolenie zrozumiało, że nie ma we Francji szansy nawet na los porównywalny z losem swoich rodziców, nie mówiąc już o lepszym.

W analogicznej sytuacji znaleźli się zresztą młodzi biali Francuzi z dziada pradziada, o ile nie mieli szczęścia urodzić się w zamożnej rodzinie, z silnym kapitałem kulturowym i towarzyskim, w dodatku w odpowiedniej dzielnicy. Bo to wtedy drzwi do świetnej edukacji, także tej akademickiej, a potem do kariery w służbach państwowych, dużym biznesie, a wreszcie w polityce fakty czniestoją otworem. Z badań socjologów, a także (co ważniejsze politycznie) z potocznej i subiektywnej obserwacji samych zainteresowanych i z narracji dominujących w mediach społecznościowych wynika, że wąziutkie drzwi do gwałtownego awansu społecznego przymykają się we Francji coraz bardziej mimo deklaracji kolejnych rządów i wydawania milionów euro na przeróżne programy mające wyrównywać szanse. Swoją drogą, ci uprzywilejowani uczniowie elitarnych szkół nie zawracali sobie głowy protestami, w większości zajmowali się wtedy nadal matematyką, geografią, logiką i językami obcymi, gdy ich potencjalna konkurencja, czyli zdolne dzieciaki z uboższych środowisk, sama eliminowała się z dalszej gry o miejsce w przyszłym podziale pracy i dobrobytu.



FOT. THIBAUD MORITZ/AFP/EAST NEWS

Szkoły i ich problemy okazały się jednak jedynie detonatorem szerszych, społecznych emocji – generalnie dotyczących poczucia wykluczenia, szklanych sufitów, realnej dyskryminacji. To wielobarwny koktajl, pojawiły się więc tu wszelakie mniejszości, ideologiczni fanatycy, oczywiście również zawodowi prowokatorzy oraz pospolici przestępcy, ale przede wszystkim ludzie realnie zagrożeni pauperyzacją, dodatkowo sprowokowani przez zauważalny, przekładający się na szybki wzrost kosztów życia skok cen paliw w ostatnim okresie. A także ci, którzy uznali, że dotychczasowy model rozwoju wyczerpał już ostatecznie swoją dynamikę, bo codziennie obserwują, że we Francji, jeszcze niedawno stanowiącej dla wielu innych krajów wzór do naśladowania, coraz więcej rzeczy po prostu przestaje działać jak należy. Zwłaszcza w sferze administracji i usług publicznych.

Do nich wszystkich spróbowały adresować swój przekaz skrajne ugrupowania – zarówno z lewej, jak i z prawej strony. Prawica stanowczo potępiła przemoc (a przy okazji często przypisując ją głównie owym nielegalnym migrantom, co bywa może doraźnie nośne, lecz spłyca problem), obiecując przywrócenie porządku oraz reformy gospodarcze. Czy i na ile możliwe, to inna sprawa – ale i tak ta oferta wyraźnie popchnęła w górę notowania Zjednoczenia Narodowego i samej Marine Le Pen.

Więcej tego samego?

Z lewej strony potępienie ulicznych burd, rabowania sklepów i palenia ratuszy było zauważalnie słabsze, a na szczeblu lokalnym niektórzy działacze wręcz ostentacyjnie stanęli ramię w ramię z zadymiarzami. Kierowali się być może emocjami, być może pragmatyczną rachubą na przejęcie kontroli nad rodzącą się rewoltą – tak czy inaczej w skali ogólnokrajowej chyba jednak napędzili w ten sposób dodatkowych wyborców swoim przeciwnikom. Nie po raz pierwszy.

Lewicowy program reform też niezbyt zaskoczył: w wypowiedziach liderów Partii Socjalistycznej oraz bardziej radykalnego ruchu La France Insoumise (Francja Nieujarzmiona) pojawiły się postulaty wyższego opodatkowania bogatych, większej redystrybucji i kontroli państwa nad gospodarką. Ktoś złośliwie skomentował, że w skrócie to „więcej tego samego, co już w przeszłości nie działało", jednak spora część francuskiego społeczeństwa tę ofertę kupuje, bo… nie wyobraża sobie innej, a przy tym panicznie boi się zwycięstwa prawicy (więc wykazuje skłonność do myślenia życzeniowego), ewentualnie liczy na prywatne korzyści przy okazji wdrażania tego rodzaju projektów. Te trzy motywacje wzajemnie się zresztą przenikają.

Na rosnącej polaryzacji najbardziej traci – jak na razie – obóz stojący za prezydentem Emmanuelem Macronem. Rząd od początku jest w defensywie. Jeśli reaguje, to z opóźnieniem i mało przekonująco. W pierwszej fazie protestów obiecał co prawda wysłać do newralgicznych szkół dodatkowe 3 tys. nauczycieli z odpowiednimi kwalifikacjami, ale nie zobowiązał się do stosownego wzrostu nakładów finansowych. Jednocześnie sprawiał wrażenie, że nie do końca panuje nad akcją policyjną – gdy manifestanci zaczęli się radykalizować i pojawiły się z ich strony akty przemocy, niektóre oddziały sił porządkowych zachowywały się biernie, a inne wykazywały skłonność do nadgorliwości, prowokując odwet. W związku z tym niektórzy komentatorzy zaczęli nawet sugerować, że wewnątrz resortu spraw wewnętrznych działa frakcja cichych sympatyków Zjednoczenia Narodowego zainteresowana tymczasową eskalacją konfliktu po to, by wzmocnić przedwyborczą pozycję Marine Le Pen. To nie musi być prawda, ale może – nie takie rzeczy się we Francji zdarzały, a sympatie prawicowe wśród funkcjonariuszy i specjalistów od bezpieczeństwa wewnętrznego są dość naturalną reakcją na lata lekceważenia ich przestróg i interesów przez rządy innych opcji politycznych.

Niektórzy szukają analogii historycznych, np. z wydarzeniami sprzed ponad 20 lat, gdy najpierw przedmieścia, a potem centra francuskich metropolii także stanęły w ogniu. Wtedy detonatorem była śmierć dwóch nastolatków porażonych prądem podczas ucieczki przed policją, a zamieszki faktycznie aktywizowały przede wszystkim stosunkowo niedawnych imigrantów, głównie muzułmańskich – stąd karierę zrobiło określenie „nadsekwańska intifada". Karierę zrobił też ówczesny minister spraw wewnętrznych Nicolas Sarkozy (swoją drogą sam wywodzący się z rodziny imigrantów, tyle że węgiersko-grecko-żydowskich, a przy tym absolwent najbardziej elitarnych szkół francuskich), oskarżany potem o to, że celowo sprowokował eskalację. Najpierw silną ręką zdławił protesty i przywrócił porządek, a wkrótce potem pewnie wygrał wybory prezydenckie.

Śladami Sarkozy'ego?

Warto w tym kontekście przypomnieć, że już na początku jego kadencji opracowano (i nawet częściowo wdrożono) pakiet ponad 300 ustaw dotyczących „rozwiązania najbardziej palących problemów Francji" – w tym zakładających prywatyzację nieefektywnych państwowych molochów, ograniczenie biurokracji, wprowadzenie elastycznych rozwiązań w zakresie czasu pracy i obniżenie składek ubezpieczeniowych. Reformatorski, liberalny zapał szybko jednak wygasł, częściowo wskutek znacznego „oporu materii", a po niemal dwóch dekadach nastawieni rynkowo ekonomiści apelują z grubsza o to samo, co wtedy…

Po burzliwym weekendzie, na początku tygodnia w miastach było nieco spokojniej, ale niektórzy protestujący, w tym przedstawiciele reanimowanego ruchu Gilets Jaunes („żółte kamizelki"), zapowiedzieli nowe akcje już na sobotę. Związki zawodowe wezwały do strajku 5 listopada, aby zaprotestować przeciwko spodziewanym cięciom budżetowym i poprzeć podwyżki płac. W niektórych częściach Paryża i kilku innych miastach wprowadzono tymczasem częściową godzinę policyjną, aby utrzymać porządek i bezpieczeństwo na ulicach w rejonach najbardziej dotkniętych zamieszkami, zapowiedziano także „masowe rozmieszczenie sił porządkowych" w stolicy i na prowincji oraz wzmocnienie policji przez oddziały wojska. Parlament powołał specjalną komisję śledczą, która ma badać przyczyny i tło kryzysu, a służby specjalne i policja delegują specjalnych wywiadowców do identyfikowania i śledzenia prowodyrów zamieszek.

Prezydent uznał w przemówieniu „uzasadnione żądania" protestujących, pochylił się ze zrozumieniem nad problemem rosnących kosztów utrzymania, jednocześnie ostro potępiając przemoc i grabieże. Nie przyjął dymisji ministra spraw wewnętrznych Laurenta Nuñeza, zobowiązując go jednak do „naprawienia błędów", które wystawiły centra miast na ataki i kradzieże (chodziło m.in. o zaniedbania wywiadowcze, niewłaściwe rozmieszczenie i wykorzystanie sił policyjnych, a także brak decyzji o odwołaniu planowanych urlopów policyjnych). Premier Sébastien Lecornu przedstawił natomiast kryzys jako wybór „pomiędzy przemocą a Republiką", a następnie obwinił za najbardziej szokujące incydenty grupy skrajnie lewicowe.

To rzeczywiście może przypominać dawną strategię Sarkozy'ego – dopuścić do rozkręcenia się protestów, by stosownie przestraszyć klasy średnie, a potem przybyć na białym koniu jako zbawca, by na fali entuzjazmu przeforsować radykalne zmiany. Sytuacja jest jednak znacząco różna. Nie tylko dlatego, że ani Macron, ani jego potencjalni liberalni następcy w wyścigu o prezydenturę nie mają już względnie czystej karty, lecz są współodpowiedzialni za klęski polityki społecznej i ekonomicznej ostatnich lat. Także dlatego, że inna jest teraz Francja, jej otoczenie oraz baza społecznego niezadowolenia. Bycie „lepszą prawicą" niż partia Le Pen może się więc francuskim centrystom nie udać, nawet jeśli zdołają spacyfikować obecną falę zamieszek.

Ekonomia przede wszystkim

Znacznie trudniejsza będzie bowiem nadchodząca batalia o budżet. Rząd mniejszościowy ma tu ograniczone pole manewru i wciąż próbuje cząstkowych kompromisów z poszczególnymi partiami opozycyjnymi, zazwyczaj kosztem zdrowego rozsądku, szacunku dla zasad ekonomii oraz długofalowych ▷

eprasa.pl 3965647923

interesów kraju – ale nawet doraźne efekty są coraz gorsze dla obozu rządzącego.

Co się dało wyskrobać z zaskórniaków, to już dawno rzucono potrzebującym – bez skutków politycznych. Na nową kiełbasę wyborczą nie ma już pieniędzy, więc najbardziej prawdopodobny scenariusz jest taki, że gabinet premiera Lecornu jednak upadnie, być może wskutek próby zastosowania jakichś niesztampowych rozwiązań (mówi się np. o próbie przeforsowania budżetu przez rozporządzenie) skutkującej skutecznym wotum nieufności, a nowy rząd (też raczej mniejszościowy) zacznie prace budżetowe od zera i nie zdoła ich sfinalizować do wyborów prezydenckich. Nowy lokator (lub lokatorka) Pałacu Elizejskiego rozwiąże natomiast zapewne parlament, co oznacza, że pełny budżet na rok 2027 może nie zostać uchwalony przed drugą połową roku, a może nawet i dłużej.

Resort finansów już ostrzegł, że taki scenariusz doprowadzi do wzrostu deficytu budżetowego (i tak jednego z najwyższych w strefie euro) o co najmniej 0,5 pkt proc., co osłabi zaufanie inwestorów i podniesie koszty pożyczek, a także do niespotykanego dotąd paraliżu budżetowego, zamrożenia inwestycji i planowanych podwyżek wydatków na obronność i innowacje technologiczne, podczas gdy koszty opieki społecznej i utrzymania niewydolnego systemu edukacyjnego czy ochrony zdrowia będą nadal rosły. Wraz z nimi – skłonności do politycznej radykalizacji. Być może zresztą na to liczy skrajna lewica. Może się okazać, że ofiarą gniewu biedniejącego społeczeństwa padnie nie tylko Macron, lecz wkrótce po nim także Le Pen i spółka.

W tej sytuacji nikomu nie pomoże ani zwalanie winy za zamieszki na Putina (choć rosyjscy agenci ewidentnie starają się podgrzewać atmosferę), ani za wzrost kosztów życia na Trumpa (choć jego wojna z Iranem faktycznie sprowokowała wzrost cen paliw). Francuzi w swej większości zdają sobie sprawę, że ani obca agentura, ani brak odporności na zawirowania globalnych rynków energetycznych nie narodziły się wczoraj, lecz są efektem własnych, wieloletnich zaniedbań, a także kryzysu modelu gospodarczego opartego na koncentracji wielu gałęzi przemysłu w rękach państwa lub oligarchii ściśle powiązanej ze światem polityczno-urzędniczym, na dominującej roli biurokracji, starającej się ręcznie sterować procesami rynkowymi.

Ten model co prawda dał Francji silny sektor atomowy, wciąż dobrej jakości zbrojeniówkę, obiecujący przemysł kosmiczny oraz pewne przewagi w przyciąganiu centrów danych, a w połączeniu z profesjonalną dyplomacją, zabójczo skutecznymi (także w sensie dosłownym) służbami specjalnymi, ekspedycyjnymi siłami zbrojnymi o sporej renomie oraz efektywną soft power – pozycję państwa może nie mocarstwowego, ale jednak wciąż istotnego w politycznej rozgrywce o przyszłość Europy i nawet świata. Tyle że ów autorytet właśnie wali się w gruzy.

Świat patrzy

Kiedyś mawiano, że gdy Francja dostaje kataru, Europa i cały świat mogą się spodziewać rychłego zapalenia płuc. Dzisiaj to już tak nie działa, ale obserwując ewidentny i głęboki kryzys V Republiki, warto odnotować, że z dość symetrycznymi problemami zmaga się drugi filar europejskiej integracji, czyli Niemcy. Tam też mamy kombinację skutków wieloletnich błędów w polityce migracyjnej, zawalenia się wiary w efektywność specyficznego modelu społeczno-gospodarczego oraz poszukiwania prostych – czy wręcz prostackich – recept, np. w postaci powrotu do polityki „business as usual" z Rosją. W efekcie możliwy jest masowy odwrót mniejszych państw europejskich od orientowania się na długofalową, pogłębioną integrację, a zwrot ku poszukiwaniu rozwiązań alternatywnych, co z kolei grozi łatwą wasalizacją rozdrobnionej Europy częściowo przez Stany Zjednoczone, a częściowo przez sojusz chińsko-rosyjski.

Tymczasem przemoc, często mająca podobne podłoże co we Francji, wybucha równocześnie w wielu innych miejscach. We Włoszech, już przecież rządzonych przez „antysystemową" prawicę, podczas demonstracji przeciwko rosnącym kosztom utrzymania i malejącym standardom usług publicznych doszło do rabowania sklepów i podpalania aut, a policja musiała interweniować dosyć brutalnie. Nie tak dawno tysiące ludzi maszerowało ulicami miast hiszpańskich i portugalskich, bo tamtejsze rządy (akurat reprezentujące odmienne opcje polityczne) nie radzą sobie z kryzysem mieszkaniowym, a częściowo także migracyjnym. Do burzliwych demonstracji doszło również w Belgii, w Albanii (tam wśród haseł są walka z korupcją i niskim poziomem edukacji). Napięcia narastają w wielu innych państwach. „Obawy dotyczące siły nabywczej stały się głównym motorem napędowym polityki populistycznej w Europie" – komentował dla Reutersa Gilles Ivaldi, politolog ze Sciences Po (czytaj rozmowę z nim obok), wskazując równocześnie na bardziej długofalowy problem „braku szans rozwojowych i zachowania chociaż takiego poziomu życia, jaki mieli rodzice", a także wzrostu realnego rozwarstwienia społecznego, czyli zaniku tradycyjnej klasy średniej, ulegającej szybkiej pauperyzacji.

Świat – trochę z przyzwyczajenia – patrzy więc na Francję, jak ona poradzi sobie z tymi wyzwaniami. Dotychczasowe obserwacje, niestety, nie napawają optymizmem. ©℗



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold

Sokała

wykładowca Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczący Rady i analityk Fundacji Po.Int, publicysta DGP



Dlaczego Francuzi chcą Marine Le Pen

Jej wyborcy to już nie tylko robotnicy i mieszkańcy podupadających miasteczek. Marine Le Pen zdobywa poparcie emerytów, zamożnych Paryżan i części klasy średniej. Wszystkich łączy pragnienie zmiany

Z Gilles'em

Ivaldim

rozmawia Maria Wiśniewska

Gdy w 2012 r. Marine Le Pen po raz pierwszy startowała w wyborach prezydenckich, zdobyła w I turze 18 proc. głosów. Dziś sondaże dają jej niemal dwukrotnie wyższe poparcie. Kto dołączył w ostatnich 15 latach do grona zwolenników Zjednoczenia Narodowego?

Wyborcy Marine Le Pen to wciąż przede wszystkim przedstawiciele grupy, którą we Francji określamy klasą ludową, czyli klasy robotniczej i niższej klasy średniej. Obie najmocniej odczuwają skutki zapaści gospodarczej, rosnących cen i kryzysu energetycznego. Ale elektorat Le Pen jest obecnie znacznie bardziej zróżnicowany niż kilkanaście lat temu. O ile jeszcze niedawno cieszyła się większym poparciem wśród mężczyzn niż wśród kobiet, o tyle dziś ta różnica właściwie zniknęła. W pierwszej turze ostatnich wyborów prezydenckich (w 2022 r. – red.) zdobyła w obu grupach po 23 proc. głosów. Coraz częściej stawiają na nią także osoby starsze, które wcześniej raczej sceptycznie podchodziły do Zjednoczenia Narodowego. Powody tej zmiany są dwa. W przypadku seniorów z klasy robotniczej chodzi głównie o to, że Zjednoczenie Narodowe obiecuje zadbać o ich emerytury i chronić je przed wzrostem cen. Jednak wzrost poparcia widzimy też wśród seniorów wywodzących się z konserwatywnej burżuazji. Dla tej grupy ważne są kwestie tożsamości narodowej, porządku i imigracji. Jej członkowie dostrzegają coraz większą obecność muzułmanów i zachodzące przemiany kulturowe. Niepokoi ich to – i dlatego zwracają się ku radykalnej prawicy. Kolejna zmiana dotyczy klasy średniej. Od dekady Francuzi mierzą

eprasa.pl 3965647923



FOT. SARAH MEYSSONNIER/REUTERS/FORUM

się z serią kryzysów. Pandemia COVID-19, a potem wybuch wojny w Ukrainie i kryzys energetyczny zachwiały poczuciem stabilności dużej części społeczeństwa. Ludzie odczuwają spadek siły nabywczej i obawiają się utraty swojej pozycji społecznej. Martwią się też, że ich dzieci nie będą mogły żyć na równie dobrym poziomie jak oni sami.
Te obawy się na siebie nakładają, a Marine Le Pen umiejętnie je wykorzystuje, obiecując Francuzom, że zachowają dotychczasowy standard życia, a być może nawet poprawią swoją sytuację materialną.

Czy tak zróżnicowaną koalicję wyborców da się utrzymać? Trudno sobie wyobrazić, by paryski burżuj i robotnik z podupadłego miasteczka na północy odnajdywali się w tej samej partii.

To główny problem Marine Le Pen. Buduje koalicję bardzo różnych grup, które mają odmienne poglądy i oczekiwania, szczególnie w kwestiach gospodarczych. Jeśli wygra wybory, szybko stanie przed problemem pogodzenia sprzecznych interesów swoich wyborców. Z jednej strony obiecuje dyscyplinę budżetową, z drugiej chce przywrócić możliwość przechodzenia na emeryturę w wieku 60 lub 62 lat oraz utrzymać rozbudowane państwo opiekuńcze. Trudno będzie realizować te wszystkie postulaty jednocześnie. Po wyborach będzie musiała zdecydować, z których obietnic się wywiązać. Na razie udaje jej się gromadzić wyborców wokół przekonania, że potrzebna jest zmiana. Każda z grup, która popiera Le Pen, wierzy, że spełni jej oczekiwania. Na tym polega populizm: ludzie mają czuć, że ich głos jest słyszany, a ich obawy są traktowane poważnie. Le Pen stosuje tę strategię wobec różnych grup i na razie jest całkiem skuteczna. Czy okaże się ona trwała, dopiero się przekonamy.

Na ile rosnące poparcie dla Marine Le Pen wynika z niezadowolenia z rządów Emmanuela Macrona, a na ile z rzeczywistego przekonania Francuzów, że program Zjednoczenia Narodowego jest dobry?

Myślę, że chodzi o jedno i drugie. Francuzi są niezadowoleni z dekady rządów Macrona i obwiniają go za problemy kraju, mimo że w tym czasie Francja musiała się mierzyć z poważnymi kryzysami międzynarodowymi, na które prezydent nie miał wpływu. Część wyborców głosuje na Le Pen, bo nie wierzy, że tradycyjne partie są w stanie doprowadzić do zmian. Innych przekonują konkretne postulaty. Wierzą, że jeśli Le Pen dojdzie do władzy, zadba o ich emerytury, zaprowadzi porządek na ulicach, ograniczy liczbę mieszkańców. Wyborca Zjednoczenia Narodowego ma dziś nieco inne motywacje niż wyborca Frontu Narodowego sprzed lat, który głównie chciał zaprotestować przeciwko establishmentowi. Już nie wygląda to tak, że ludzie przechodzą do tej partii, a potem od niej odchodzą. Najczęściej, gdy już raz na nią zagłosują, pozostają jej wierni.

Jednocześnie Zjednoczenie Narodowe mierzy się z trudnościami wizerunkowymi. Jordan Bardella, jego lider i kandydat na premiera, związał się z księżniczką Marią Caroliną de Bourbon des Deux Siciles, osobą z zupełnie innego świata niż większość wyborców jego partii. Na dodatek ujawniono wiadomości o charakterze antysemickim, które rzekomo wysyłał, kiedy miał 17–18 lat. Le Pen została skazana za defraudację funduszy unijnych. Czy te kwestie mogą osłabić poparcie dla Zjednoczenia Narodowego?

Związek Bardelli z księżniczką może się wydawać zaskakujący – mówimy o polityku zabiegającym o głosy ludzi, którym często nie wystarcza do pierwszego. Niektórzy przewidywali, że jego luksusowe życie w Monako i wizyty na wyścigach Formuły 1 zniechęcą wyborców. Tak się jednak nie stało. Podobnie było po ujawnieniu przez portal śledczy Mediapart jego rzekomych antysemickich wpisów z młodości. Choć sprawa nieco zaszkodziła wizerunkowi samego Bardelli, nie przełożyła się na spadek poparcia dla RN.
Jeśli chodzi o Le Pen, to mówiąc wprost, jest przestępczynią. A mimo wyroku skazującego jej poparcie praktycznie nie drgnęło. Być może straciłaby część poparcia, gdyby sąd nakazał jej noszenie elektronicznej bransoletki w trakcie kampanii. Sądzę jednak, że sąd wyda orzeczenie późno, aby uniknąć oskarżeń o ingerowanie w proces demokratyczny. Powtórzę się: obecnie główną siłą napędową francuskiej polityki jest dążenie do zmiany, a Zjednoczenie Narodowe, czy nam się to podoba, czy nie, stało się jej uosobieniem. Wszystkie inne sprawy schodzą na dalszy plan. Można odnieść wrażenie, że nic nie jest już w stanie zaszkodzić tej partii.

Po spotkaniu Macrona z liderami partii, na którym dyskutowano o rosyjskim zagrożeniu, Marine Le Pen i Jordan Bardella potępili próby wywierania wpływu na Francję przez Kreml. Wielu komentatorów uznało to za ważny zwrot w podejściu partii, która w przeszłości nie ukrywała sympatii do Moskwy. Skąd ta zmiana i czy ma ona znaczenie dla wyborców?

Zjednoczenie Narodowe od lat jest ugrupowaniem prorosyjskim. Ten kurs umocnił się, gdy Marine Le Pen przejęła przywództwo po swoim ojcu, Jean-Marie Le Penie. Wiadomo też, że partię łączyły z Rosją powiązania finansowe. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę w 2022 r. Le Pen musiała jednak zmienić ton. Wie, że związki z Rosją mogą jej zaszkodzić w wyborach. Jednocześnie nie chce całkowicie odcinać się od wcześniejszej polityki, bo nadal uważa Kreml za potencjalnego partnera, a nie zagrożenie. Gdy Macron mówi o rosyjskich działaniach wymierzonych we Francję, takich jak sabotaż, dezinformacja i wojna hybrydowa, Le Pen również musi zareagować i pokazać, że nie stoi po stronie Moskwy.
Podobnie jest w przypadku Unii Europejskiej. Le Pen jest jej zdecydowaną przeciwniczką, ale wie, że Francja potrzebuje UE, m.in. w kwestiach obronności i funkcjonowania strefy euro. Do tego dochodzą poważne problemy finansowe kraju. Otwarty konflikt z Unią nie byłby dla niej korzystny. Le Pen stara się więc lawirować. Chce wstrzymać pomoc dla Ukrainy, sprzeciwia się obecnemu kształtowi UE, a nawet dąży do jej osłabienia i demontażu. Na razie nie eksponuje jednak tych postulatów. Tak samo podchodzi do Rosji: nie potępia jednoznacznie inwazji na Ukrainę, ale też unika otwartego podkreślania swoich prorosyjskich sympatii.

A co z Trumpem? Czy Marine Le Pen będzie zabiegała o wsparcie ruchu MAGA w wyborach?

Raczej nie, i to z dwóch powodów. Pierwszy to tradycja polityczna Paryża. Począwszy od czasów generała de Gaulle'a, Francja zawsze podkreślała swoją niezależność, suwerenność narodową i znaczenie własnego potencjału nuklearnego. Także Front Narodowy, jeszcze przed przejęciem przywództwa przez Marine Le Pen, zajmował stanowisko antyamerykańskie i sprzeciwiał się NATO. Partia domagała się m.in. wycofania Francji ze zintegrowanego dowództwa wojskowego Sojuszu. Choć w pewnym momencie Le Pen próbowała uzyskać poparcie Trumpa, nie jest jego zwolenniczką i nigdy nią nie była. Tym bardziej nie chce być z nim kojarzona teraz, gdy jego decyzje w polityce zagranicznej są tak chaotyczne.
Sądzę, że dla Le Pen, podobnie jak dla innych skrajnie prawicowych przywódców w Europie, związki z Trumpem nie są dziś korzystne. Francuzi postrzegają go jako polityka nieprzewidywalnego i nieobliczalnego. Le Pen zależy natomiast na budowaniu wiarygodności własnego ugrupowania. Bliskie kontakty z amerykańskim prezydentem mogłyby podważyć realizowaną od lat strategię tzw. dediabolizacji, której celem jest zerwanie z radykalnym wizerunkiem i prezentowanie partii jako bardziej umiarkowanej siły politycznej, otwartej na szersze grono wyborców.

Jak pan widzi przyszłość skrajnej prawicy w Europie w najbliższych latach? W ostatniej dekadzie XX w. głosowało na nią 5 proc. wyborców, dziś już co czwarty. Czy skrajna prawica wkrótce zdominuje europejską scenę polityczną?

Zarówno we Francji, jak i całej Europie dostrzegam napięcie między dwiema różnymi siłami. Z jednej strony wywołane licznymi kryzysami gniew i frustracja napędzają poparcie dla skrajnej prawicy. Z drugiej strony mamy opcje polityczne, które czerpią siłę z obaw związanych z niepewną sytuacją międzynarodową. Lista zagrożeń, z którymi zmaga się Europa, ciągle rośnie: Rosja, Chiny, nowe wojny. Część europejskich wyborców bardzo się tym niepokoi i poszukuje stabilności.
W wielu krajach widzimy swoiste starcie tych dwóch sił. W tej chwili naprawdę trudno przewidzieć, która z nich zyska przewagę w nadchodzących miesiącach i latach. Będzie to zależało od wzajemnego oddziaływania obu tych tendencji.
Intuicja podpowiada mi, że niedługo możemy wkroczyć w nowy cykl polityczny, w którym większego znaczenia nabiorą obawy o stabilność światowego porządku i bezpieczeństwo Europy. Wyborcy będą bowiem coraz bardziej świadomi skali zagrożeń. We Francji ludzie wciąż nie do końca zdają sobie sprawę z tego, że w Europie trwa wojna, ale kwestie bezpieczeństwa i zagrożeń międzynarodowych zaczynają odgrywać coraz większą rolę w debacie publicznej. Mam więc nadzieję, że siła opowiadająca się za stabilnością zyska na znaczeniu. Ale być może sam po prostu sobie tego życzę. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Gilles
Ivaldi
politolog z paryskiej Sciences Po, związany z francuskim ośrodkiem badania opinii publicznej CEVIPOF i państwowym instytutem badawczym CNRS. Jeden z czołowych europejskich badaczy skrajnej prawicy i populizmu

eprasa.pl 3965647923

Donald Trump buduje bogactwo Wietnamu

Żaden wietnamski polityk nie zrobił w ostatnich latach dla gospodarki tego kraju tyle, ile prezydent USA. Decydujące znaczenie ma wojna handlowa, którą Biały Dom prowadzi z Chinami

Tomasz
Jóźwik

W likwidacji deficytu handlowego Stanów Zjednoczonych, co Donald Trump wielokrotnie deklarował jako jeden z głównych ekonomicznych celów swoich działań, sukcesy amerykańskiego prezydenta nie są znaczące. Po najwyższej w historii nadwyżce importu nad eksportem towarów w 2025 r. tegoroczne statystyki wyglądają nieco lepiej. Na koniec sierpnia deficyt spadł o 13 proc. w porównaniu z analogicznym okresem poprzedniego roku. W dalszym ciągu jednak wartość zagranicznych towarów zakupionych przez Amerykanów była o 785 mld dol. wyższa od wartości amerykańskiej produkcji sprzedanej poza USA.

Z tej kwoty aż 164 mld dol. deficytu przypada na wymianę towarową między Stanami Zjednoczonymi a Wietnamem. Pod względem wielkości gospodarki Wietnam zajmuje 33. miejsce na świecie z PKB o połowę mniejszym od Polski. A jednak żadne inne państwo nie ma tak dużej nadwyżki w handlu z USA.

Pod względem wartości towarów sprzedanych na amerykańskim rynku Wietnam ustępuje Meksykowi, Kanadzie, Chinom i Tajwanowi. Z eksportem na poziomie 176 mld dol. po ośmiu miesiącach 2026 r. o niemal 80 proc. wyprzedza Niemcy, choć wietnamska gospodarka jest 10 razy mniejsza od niemieckiej.

Z żadnym innym znaczącym partnerem handlowym amerykański handel nie jest tak jednostronny. Na liście największych rynków eksportowych USA Wietnam plasuje się w trzeciej dziesiątce z udziałem niższym niż 1 proc. w sprzedaży amerykańskich towarów na rynkach zagranicznych. Wietnamczycy kupują amerykańskie produkty o mniej więcej takiej samej wartości jak Polacy, ale ich eksport do USA jest ponad 17 razy większy od naszego.

Sprzedaż wietnamskich towarów w Stanach Zjednoczonych w 2025 r. urosła o ponad 40 proc. i zwiększa się w takim samym tempie także w tym roku. Podobnie było na przełomie dekady, podczas pierwszej prezydentury Donalda Trumpa. W 2021 r., gdy odchodził z urzędu, eksport z Wietnamu do USA po raz pierwszy przekroczył 100 mld dol. i był dwukrotnie wyższy niż cztery lata wcześniej.

Głównego czynnika napędzającego ten ruch eksperci upatrują w wojnie handlowej, którą Trump wypowiedział Chinom w trakcie swojej pierwszej kadencji. Konflikt wybuchł z nową siłą, gdy Trump wrócił na urząd w zeszłym roku. Choć ostatecznie strony zawarły rozejm, który w trakcie niedawnej wizyty prezydenta Xi Jinpinga w Białym Domu został przedłużony do stycznia 2027 r., stawki na chińskie towary eksportowane do USA znacząco poszły w górę.

Wietnam jako brama do USA

Według Penn Wharton Budget Model, projektu prowadzonego przez Uniwersytet Pensylwanii, efektywna stawka celna (zapłacone cło odniesione do wartości importu) na produkty z Chin wynosi w tym roku 24,3 proc. Jeszcze w 2024 r. nie przekraczała 11 proc. Dla porównania amerykańska stawka celna uwzględniająca wszystkie importowane towary to 7,1 proc. Dla Wietnamu, który w relacjach handlowych z USA ma klauzulę najwyższego uprzywilejowania, jest o 0,1 pkt proc. wyższa.

Część ekspertów łączy ze sobą trzy trendy: spadek eksportu z Chin do USA, wzrost sprzedaży towarów z Chin do Wietnamu i wietnamską ekspansję na rynek amerykański. I konkluduje, że ze względu na różnicę w cłach Chiny traktują Wietnam jako bramę do amerykańskiego rynku. Peter Navarro, doradca Białego Domu ds. handlu, uważa, że Chiny wykorzystują ponad 40 państw, żeby dostać się ze swoimi towarami na amerykański rynek bez płacenia wysokich ceł. Za dwa główne państwa przerzutowe uważane są Meksyk i Wietnam. Przepis jest prosty: wyślij z Chin do Wietnamu niemal gotową koszulę, przeszyj ją na miejscu kilka razy i nazwij wietnamską.

Ekonomiczne modele i anegdotyczne dowody sugerują, że proceder nielegalnych przeładunków w jakimś stopniu wpływa na handel między Wietnamem a USA. Ekspansję towarów wyprodukowanych w Wietnamie w dużo większym stopniu tłumaczą jednak inwestycje amerykańskich korporacji w tym kraju, często realizowane kosztem Chin.

Strategia China+1

Od 2019 r. w rozwój produkcji w Wietnamie inwestuje Apple. Odkąd Donald Trump zaostrzył kurs wobec Chin, gdzie Apple miało ulokowaną niemal całą produkcję, firma zaczęła postrzegać swoje uzależnienie od największej fabryki świata jako czynnik ryzyka. I rozpoczęła dywersyfikację. Nim Donald Trump wrócił do Białego Domu na drugą kadencję, Apple zainwestowało w Wietnamie 16 mld dol. Od połowy 2025 r. prawie wszystkie urządzenia przenośne firmy – z wyjątkiem iPhone'ów – sprzedawane w USA mają sygnaturę „Made in Vietnam".

Wraz z Apple do tego kraju ściągnęli poddostawcy firmy. Quanta Computer, produkujący MacBooki, rozpoczął w maju inwestycję, dzięki której w ciągu dwóch lat podwoi moce wytwórcze z 4,5 mln do 9 mln komputerów rocznie. Swoje wietnamskie fabryki rozbudowują też tajwański Foxconn i chiński Luxshare, znany przede wszystkim z produkcji słuchawek AirPods. Łącznie w Wietnamie działało w zeszłym roku 35 kontrahentów Apple.

Od 1995 r. inwestorem w Wietnamie jest Nike. W ostatnich latach położone w południowowschodniej części Azji państwo stało się główną bazą produkcyjną firmy. W roku fiskalnym zakończonym w maju to tam powstało 54 proc. butów Nike. Jednocześnie udział Chin w tym asortymencie, po podwyższeniu ceł przez Trumpa, spadł do 20 proc. Przez lata obecności Nike zbudowało w Wietnamie sieć 180 fabryk współpracujących z firmą. Końcowym rezultatem tego łańcucha produkcyjnego są relatywnie tanie buty i odzież kupowane przez amerykańskich odbiorców. I wzrost eksportu wietnamskich produktów do USA.

W ślad za największymi przedsiębiorstwami idą mniejsze firmy. W 2024 r. spółka TOV Furniture z siedzibą w Miami sprowadzała 60 proc. swoich mebli z Chin i 25 proc. z Wietnamu. Obecnie proporcje się odwróciły. Według założyciela firmy Bruce'a Krinsky'ego, cytowanego przez dziennik „The Wall Street Journal", cła są jedynym powodem przeniesienia produkcji. Strategia dywersyfikacji przy jednoczesnym zachowaniu w Państwie Środka części bazy produkcyjnej określana jest jako China+1. Wietnam jest jednym z głównych beneficjentów tego trendu napędzanego przez politykę handlową Donalda Trumpa.

Tu jest taniej

O lokalizacji produkcji w Wietnamie przesądzają także relatywnie niskie wynagrodzenia pracowników. Jak wynika z badania japońskiej organizacji handlu zagranicznego JETRO, w 2025 r. średnia płaca zasadnicza w wietnamskim przemyśle miała równowartość 302 dol. wobec 629 dol. w Chinach. Dane obejmują japońskie przedsiębiorstwa działające w obydwu krajach. Chiny w dalszym ciągu są największą fabryką świata, ale już nie najtańszą.

Między innymi dlatego nie tylko amerykańskie korporacje wybierają Wietnam. Samsung, który rywalizuje z Apple o miano globalnego lidera rynków smartfonów, połowę swoich telefonów wytwarza właśnie tam. Większość sprzedaje na rynkach zagranicznych, dzięki czemu południowokoreańska firma jest największym wietnamskim eksporterem. W zeszłym roku sprzedała poza krajem produkty o wartości 57 mld dol., uzyskując 12-proc. udział w eksporcie tego państwa. Dane wskazują, że komputery, elektronika i komponenty to najważniejsza kategoria produktów z Wietnamu sprzedawanych na amerykańskim rynku. W 2025 r. przypadło na nią 27 proc. wietnamskiego eksportu do USA.

Według Międzynarodowego Funduszu Walutowego dwoma filarami strategii rozwojowej Wietnamu są zagraniczne inwestycje i orientacja na eksport. W relacji do wielkości gospodarki wartość handlu zagranicznego (eksportu i importu towarów oraz usług) w 2025 r. osiągnęła 190 proc. Ten sam wskaźnik dla Polski, która w ostatniej dekadzie zwiększyła skalę wymiany z zagranicą o ponad 120 proc., wynosił w zeszłym roku 100 proc.

Trump Organization w Ho Chi Minh

W zeszłym roku do amerykańskich firm obecnych w Wietnamie dołączył także rodzinny holding Trumpów. W uroczystym wmurowaniu kamienia węgielnego pod inwestycję o wartości 1,5 mld dol. uczestniczyli syn prezydenta Eric Trump i Pham Minh Chính, ówczesny premier Wietnamu. Projekt, realizowany wspólnie z miejscowym deweloperem, zakłada budowę luksusowego hotelu, ekskluzywnych willi i pól golfowych. Na początku roku rząd w Hanoi wypłacił ponad 2 mln dol. odszkodowań mieszkańcom wysiedlanym z obszaru inwestycji, ale zaplanowane na ten rok pierwsze prace budowlane wciąż nie ruszyły.

Trump Organization analizuje także możliwość budowy wieżowca w Thu Thiem, prestiżowej dzielnicy Ho Chi Minh, największego miasta i gospodarczego centrum kraju. Według ekspertów wietnamskie inwestycje rodziny Trumpów to klasyczny przykład konfliktu interesów, których amerykański prezydent specjalnie nie unika.

Jak twierdzi „ The New York Times", wietnamski rząd pominął, skrócił lub przeprowadził w nadzwyczajnym trybie procedury związane z zatwierdzaniem inwestycji Trump Organization. W kwietniu podobny materiał opublikował francuski dziennik „Le Monde". W tym samym czasie, gdy zapadały decyzje o kształcie wietnamskich inwestycji Trumpów, prezydencka administracja negocjowała umowę handlową z Wietnamem.

Dane sugerują, że to jednak nie inwestycja prezydenckiej rodziny przesądziła o korzystnych dla Wietnamu warunkach handlu z USA. W trakcie negocjacji Trump wycofał się z najwyższych stawek, którymi groził Hanoi, jednak pod koniec 2025 r. cło na towary z tego kraju wynosiło 12–13 proc. wobec 3 proc. rok wcześniej. Wietnamscy producenci płacili wyższe cła niż reszta świata, a ich sytuację poprawił dopiero w lutym tego roku wyrok Sądu Najwyższego USA znoszący dużą część taryf wprowadzonych przez Trumpa. ©℗

eprasa.pl 3965647923

TEKST SPONSOROWANY

Polska Wschodnia chroni przyrodę i zaprasza turystów

Dzika i zachwycająca przyroda, pełne zieleni krajobrazy i atrakcyjne miejsca czekają na turystów w Polsce Wschodniej. Parki narodowe i samorządy z regionu realizują inwestycje dofinansowane przez Unię Europejską z programu Fundusze Europejskie dla Polski Wschodniej, dzięki którym można bezpiecznie odkrywać naturę. Nowe ścieżki i punkty obserwacyjne wyznaczają trasy zwiedzania, co chroni roślinność i ogranicza płoszenie zwierząt. Wraz z nowoczesnymi przestrzeniami edukacyjnymi w parkach tworzą nową jakość doświadczeń przyrodniczych dla odwiedzających.

Można już korzystać ze ścieżki pieszo-rowerowej w Pluskach (warmińsko-mazurskie) i wygodnie podziwiać przyrodnicze skarby Poleskiego Parku Narodowego podczas spaceru zmodernizowaną ścieżką Spławy (lubelskie). Kolejne inwestycje dla wygody turystów, lokalnych społeczności i ochrony przyrody trwają. Część z nich wspiera też ochronę klimatu – w obiektach edukacyjnych parków pojawią się m.in. odnawialne źródła energii.

Ochrona przyrody nad jeziorem Plusznym

Nowa ścieżka pieszo-rowerowa w Pluskach umożliwia mieszkańcom i turystom bezpieczne poruszanie się w otoczeniu lasów. Inwestycja Gminy Stawiguda łączy możliwość aktywnego wypoczynku z ochroną cennego terenu Natura 2000 Puszcza Napiwodzko-Ramucka nad jeziorem Plusznym.

Spacer po ścieżce Spławy

Poleski Park Narodowy zastąpił wąską kładkę na ścieżce Spławy nową, szerszą (1,5 m) trasą o długości ponad 4 km. Dzięki temu mogą z niej wygodnie korzystać osoby z niepełnosprawnościami poruszające się na wózkach czy rodziny z dziećmi w wózkach. Na trasie można zobaczyć fragmenty łąk, otwartych torfowisk i bagiennych lasów, a na jej końcu znajduje się Jezioro Łukie – największy zbiornik na terenie parku. Z pomostu można tam obserwować łabędzie nieme, perkozy czy łyski, a nad głowami błotniaka stawowego czy drapieżnego bielika.

Widok na Torfowisko Serafin

W rezerwacie Torfowisko Serafin (mazowieckie) zostanie odtworzona ścieżka edukacyjna. Dzięki kładkom z podestami i wieży widokowej przy rezerwacie można będzie prowadzić atrakcyjne obserwacje torfowiska i trzęsawisk. Kładka piesza z obustronnymi barierkami ograniczy schodzenie z kładki i ochroni torfowisko. Inwestycję Powiatu Ostrołęckiego dofinansowano z programu Fundusze Europejskie dla Polski Wschodniej.

Szlaki Wigierskiego Parku Narodowego lepiej dostępne dla turystów

Przebudowa ważnych odcinków szlaków turystycznych w Wigierskim Parku Narodowym (podlaskie) umożliwi m.in. osobom z niepełnosprawnościami dostęp do nowych miejsc, zachęci turystów do poruszania się po wyznaczonych szlakach i ograniczy spacerowanie poza nimi. Nowe kładki, mostki i nawierzchnia pojawią się na ścieżkach edukacyjnych przy dyrekcji parku, na szlaku rowerowym wokół Wigier czy szlaku kajakowym Czarnej Hańczy. Dwa nowe miejsca wodowania i cumowania łodzi oraz kajaków w Czerwonym Folwarku i Zakątach ograniczą niszczenie brzegów jezior Postaw i Wigry. Inwestycja powstaje dzięki Funduszom Europejskim.

Kładka wśród bagien otworzy się na odwiedzających

Narwiański Park Narodowy zmodernizuje ścieżkę przyrodniczą „Kładka wśród bagien" (podlaskie), która przebiega wzdłuż rzeki Kurówki, nad terenami bagiennymi. Podczas spaceru będzie można obserwować ptaki – to m.in. bąk, błotniak stawowy, derkacz, podróżniczek, kropiatka, zielonka i rybitwa czarna. Przy kładce swoje siedliska mają bobry, spotyka się wydry i kumaki nizinne. Kładka ułatwi prowadzenie zajęć terenowych i będzie dostępna także dla osób z niepełnosprawnościami. Turyści skorzystają z lunet ornitologicznych, które zostaną zamontowane na wieży widokowej i platformie. Inwestycja będzie gotowa we wrześniu 2027 r. To kolejny projekt wspierany z programu Fundusze Europejskie dla Polski Wschodniej.

Edukacja w parkach narodowych w nowej odsłonie

Nowoczesne sale dydaktyczne, interaktywne wystawy, ogrody edukacyjne i przestrzenie dostosowane do potrzeb osób z niepełnosprawnościami – taki standard edukacji pojawia się w parkach narodowych Polski Wschodniej. Część inwestycji już zakończono, pozostałe trwają. Na realizację inwestycji edukacyjnych parki otrzymają od Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej łącznie blisko 115,5 mln zł dofinansowania z programu Fundusze Europejskie dla Polski Wschodniej 2021–2027.

Biebrzański Park Narodowy

W Grzędach, Trzyrzeczkach i Goniądzu powstaną nowoczesne przestrzenie warsztatowe i dydaktyczne dostosowane do potrzeb wszystkich turystów. Miejsca te zostaną wyposażone w interaktywne narzędzia edukacyjne, co pozwoli na prowadzenie atrakcyjnych zajęć przez cały rok, niezależnie od pogody, od III kwartału 2027 r.

Białowieski Park Narodowy

Kompleksowy remont przeszedł już zabytkowy Dworek Gubernatora, który jest główną przestrzenią do edukacji ekologicznej w Białowieskim Parku Narodowym.



Muzeum Przyrodniczo-Leśne w Białowieży z nową wystawą stałą i interaktywnymi przestrzeniami pozwoli odwiedzającym w nowy sposób poznawać wyjątkową przyrodę Puszczy Białowieskiej. Oferta muzeum będzie służyć nie tylko gościom odwiedzającym region, ale także mieszkańcom gmin puszczańskich, w tym szkołom, rodzinom z dziećmi i lokalnym inicjatywom edukacyjnym.

Bieszczadzki Park Narodowy

Bieszczadzki Park Narodowy zmodernizował ośrodki edukacyjne w Ustrzykach Dolnych, Suchych Rzekach i Wołosatem. Celem projektu było unowocześnienie zaplecza edukacyjnego, wzbogacenie oferty o nowe technologie oraz dostosowanie infrastruktury do potrzeb osób starszych i z niepełnosprawnościami. W Ustrzykach Dolnych zmodernizowano i wyposażono studio podcastowe, które pozwala tworzyć filmy oraz podcasty radiowe i telewizyjne. W Suchych Rzekach powstał ogród edukacyjny, a w Wołosatem – nowe elementy małej architektury w ogrodzie edukacyjnym.

Park promuje aktywną, zrównoważoną turystykę, dlatego w ramach przedsięwzięcia kupił m.in. rowery elektryczne i narty skiturowe dla uczestników edukacyjnych wycieczek terenowych.

Modernizację przejdzie także Ośrodek Informacji i Edukacji Turystycznej w Lutowiskach, który zyska m.in. nowe panele multimedialne, sale dydaktyczne i małą infrastrukturę edukacyjną w otoczeniu budynku.

Poleski Park Narodowy

Dzięki wsparciu z Funduszy Europejskich rozbudowany zostanie budynek dydaktyczno-muzealny w Starym Załuczu – powstaną nowe przestrzenie ekspozycyjne oraz sale warsztatowe. Budynek będzie w pełni dostosowany do potrzeb osób z niepełnosprawnościami i zrealizowany w duchu zrównoważonego rozwoju – z energooszczędnymi rozwiązaniami i materiałami przyjaznymi środowisku.

Na terenie ośrodka „Poleskie Sioło" w Wytycznie zaplanowano odtworzenie tradycyjnej architektury lokalnej i urządzenie ogrodu tematycznego.

Świętokrzyski Park Narodowy

Nowe centrum edukacji ekologicznej w Nowej Słupi, które powstanie w sąsiedztwie Muzeum Starożytnego Hutnictwa i Parku Legend, uzupełni kompleks turystyczno-edukacyjny oparty na dziedzictwie Łysej Góry i Gór Świętokrzyskich. W obiekcie znajdą się interaktywne wystawy, sale warsztatowe i ogród edukacyjny.

Zespół zabytkowych, drewnianych budynków dawnego Nadleśnictwa Święta Katarzyna zmieni się w centrum edukacyjno-wystawiennicze i kulturalne. Pobliskie łąki, rzeki z odnowionym systemem stawów oraz ekosystem leśno-parkowy będą integralną częścią programu edukacyjnego. Kompleks zostanie wyposażony w odnawialne źródła energii, które będą nie tylko wspierać ochronę klimatu, lecz także pełnić funkcję edukacyjną.

Fundusze Europejskie dla Polski Wschodniej | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | NARODOWY FUNDUSZ OCHRONY ŚRODOWISKA i GOSPODARKI WODNEJ

eprasa.pl 3965647923



FOT. BRENDAN SMIALOWSKI/AFP/EAST NEWS

Ciszej nad tą MAGA

Przed zbliżającymi się wyborami do Kongresu coraz więcej republikanów dystansuje się od Donalda Trumpa z obawy, że bliskie relacje z niepopularnym prezydentem przekreślą ich szanse na mandat

Emilia

Świętochowska

Jeszcze całkiem niedawno Rick Jackson, kandydat republikanów na gubernatora Georgii, ostentacyjnie manifestował lojalność wobec Donalda Trumpa. Podkreślał, że „nie potrafi wymienić ani jednej polityki Białego Domu, z którą by się nie zgadzał". Rozpływał się nad ekonomicznym geniuszem swojego idola, obiecując, że w swoim stanie będzie jego wiernym naśladowcą. – Będę robić dokładnie to, co on, tyle że z południowym akcentem – zapowiadał.

Jackson, przedsiębiorca i miliarder, próbuje skopiować trumpowską drogę do władzy: kreuje się na outsidera, który przywróci w polityce zdrowy rozsądek i wniesie do niej zacięcie biznesowe. Aby wkupić się w łaski obozu MAGA, wpłacił co najmniej 2 mln dol. na konta powiązanego z nim komitetu politycznego. Oprócz obniżenia podatków i deregulacji jego ambicją było stać się „ulubionym gubernatorem Trumpa". – Nikt nie popiera prezydenta bardziej niż ja – przekonywał. Jednak na ostatniej prostej kampanii Jackson wyraźnie zmienił ton: peany na cześć przywódcy Ameryki zastąpił deklaracjami niezależności i gotowości do postawienia się Waszyngtonowi. Z jego przemówień wyparowały wzmianki nie tylko o samym Trumpie, lecz także o sztandarowych projektach administracji, takich jak operacja deportacyjna i krucjata przeciwko woke.

Jackson nie jest jedynym republikaninem, który przed wypadającymi 3 listopada wyborami połówkowymi (midterms) zmienia kurs. W całym kraju konserwatywni kandydaci dystansują się od Białego Domu z obawy, że eksponowanie bliskich relacji z cieszącym się coraz mniejszym poparciem prezydentem przekreśli ich szanse na urząd. Ubiegający się o fotel gubernatora Florydy kongresmen Byron Donalds, jeden z najbardziej zagorzałych trumpistów na Kapitolu, wygumkował ze swojej strony internetowej wszystkie wzmianki o politycznym patronie. Zniknęły wielkie banery przypominające, że został namaszczony przez szefa administracji, a nawet wspólne zdjęcie, do którego pozują z uniesionymi kciukami. Miejsce agendy MAGA zajęła nowa lista priorytetów, na której czele znalazła się walka z drożyzną.

Nawet w bastionach prawicowej Ameryki marka Trump straciła na atrakcyjności. W Kentucky, gdzie Trump wygrał w 2024 r. przewagą ponad 30 pkt proc., republikanie walczący o mandaty w Senacie i Izbie Reprezentantów pokasowali fotki z nim i slogany „America First".

Strategie przetrwania

Niektórzy kandydaci całkiem otwarcie zaczęli się odcinać od działań administracji – jak Maria Salazar, starająca się o czwartą kadencję kongresmenka z Miami. Salazar, przez lata wierna sojuszniczka Białego Domu, wypuściła reklamówkę wyborczą, w której stwierdziła, że ofensywa przeciwko nielegalnej imigracji poszła za daleko. Tłumaczyła, że Latynosi, którzy stanowią ponad 70 proc. mieszkańców jej okręgu, czują się oszukani: wbrew zapewnieniom o ściganiu „cudzoziemców kryminalistów" większość osób aresztowanych przez ICE nie figuruje w rejestrze karnym. W odpowiedzi Trump obsztorcował kongresmenkę na platformach społecznościowych, a partii zasugerował konieczność wymiany kandydatki. O ile dwa lata temu Salazar odniosła zdecydowane zwycięstwo nad swo-

eprasa.pl 3965647923

ją demokratyczną rywalką, o tyle tym razem sondaże wskazują na remis.

Jeszcze większym źródłem fermentu jest wojna z Iranem, która doprowadziła do skoku cen na stacjach benzynowych. Widać go szczególnie w stanach Środkowego Zachodu, gdzie toczy się najbardziej zacięta walka o głosy. Pod koniec września troje kandydatów do Senatu – Mike Rogers z Michigan, Ashley Hinson z Iowa i Jon Husted z Ohio – zaapelowało do prezydenta o szybkie zakończenie operacji, mimo że wcześniej bronili decyzji o ataku na Teheran. W ciągu kilku dni dołączyli do nich kolejni republikanie, m.in. z Wisconsin, Karoliny Południowej i Alaski. Choć nie ma mowy o zerwaniu z Trumpem, takie gesty są sygnałem, że jego władza nad partią, w której niepodzielnie rządzi od prawie dekady, powoli słabnie.

Odzwierciedla to nastroje w elektoracie. Jak wynika z badania „The New York Times" i Siena University, poparcie dla prezydenta spadło w październiku do 36 proc. Szczególnie surowo recenzują jego dokonania Latynosi, którzy pomogli mu odzyskać urząd – niespełna jedna czwarta z nich pozytywnie ocenia gospodarza Białego Domu.

Republikanie muszą ostrożnie balansować: z jednej strony nie mogą zbyt ostro krytykować Trumpa, by nie narazić się na jego gniew i utratę funduszy na kampanię; z drugiej strony wysokie rachunki za paliwo i artykuły spożywcze dotkliwie uderzają w ich notowania. Benzyna kosztuje już średnio 4,3 dol. za galon, o 45 proc. więcej niż przed wybuchem wojny z Iranem (w lutym: 2,9 dol.). Ceny oleju napędowego, wykorzystywanego do zasilania kombajnów i ciężarówek, podskoczyły aż o dwie trzecie – z 3,76 do 6,33 dol. za galon. Przez cieśninę Ormuz nadal przepływa zaledwie mikra część tankowców, które kursowały tamtędy przed wojną, mimo że Trump i jego doradcy wielokrotnie się zarzekali, że Stany Zjednoczone sprawują nad szlakiem pełną kontrolę.

Wstrząs energetyczny zakłócił funkcjonowanie całych łańcuchów dostaw. Bureau of Labor Statistics podało, że we wrześniu wskaźnik cen konsumpcyjnych (CPI) w ujęciu rocznym skoczył o 3,7 proc. Oprócz benzyny, która odpowiada za połowę wzrostu, wyraźnie podrożały bilety lotnicze, żywność, zabawki, używane samochody i obuwie. Wprawdzie wiele firm wzięło na siebie część rosnących kosztów produkcji i transportu, ale zdaniem analityków jeśli ceny diesla nie spadną, wojna wkrótce znacznie mocniej uderzy w portfele. Linie lotnicze szykują pasażerów na kolejne podwyżki, choć już teraz loty na Święto Dziękczynienia kosztują średnio 400 dol., o prawie jedną trzecią więcej niż rok wcześniej. Bilety na Boże Narodzenie to wydatek rzędu 450 dol., o 23 proc. więcej niż rok temu.

Mark Zandi, główny ekonomista Moody's Analytics, wyliczył, że konflikt z Iranem obciążył budżet przeciętnej amerykańskiej rodziny kwotą ok. 2 tys. dol., z czego 1,1 tys. przypada na ceny paliwa. Innym bolesnym odpryskiem przedłużającej się wojny jest wzrost kosztów kredytów. We wrześniu uporczywa inflacja skłoniła Rezerwę Federalną do pierwszej od trzech lat podwyżki stóp procentowych, a także przyczyniła się do wywindowania rentowności obligacji skarbowych USA. W konsekwencji oprocentowanie 30-letnich kredytów hipotecznych od końca lutego poszło w górę z 5,98 proc. do 7,4 proc. Osoby niemające poduszki finansowej oceniają swoją sytuację z narastającym niepokojem, co dobrze ilustruje indeks nastrojów konsumenckich Uniwersytetu Michigan: na początku października wskaźnik ten spadł do poziomu najniższego od 15 lat.

Większość wyborców nie wierzy, że ekonomiczne recepty MAGA przywrócą im poczucie bezpieczeństwa. Jak wynika z badania „The Washington Post", ABC News i Ipsos, po raz pierwszy od ponad dekady bardziej ufają demokratom w sprawach gospodarczych.

> Poparcie dla prezydenta spadło w październiku do 36 proc. Szczególnie surowo recenzują jego dokonania Latynosi, którzy pomogli mu odzyskać Biały Dom

Populiści z prerii

Niepewność i pesymizm panują szczególnie wśród farmerów, którzy od lat 80. XX w. należą do najwierniejszych wyborców Partii Republikańskiej. Trump tylko umocnił ich więzi z prawicą, przekuwając frustrację i poczucie krzywdy związane z globalizacją i degradacją prowincjonalnych społeczności w polityczny kapitał. O potędze ruchu MAGA na wsi najlepiej świadczy to, że cztery lata temu zagłosowało na niego 78 proc. rolniczych hrabstw. Niemniej wojna z Iranem i agresywna polityka celna nadszarpnęły ten sojusz. Wraz z ograniczeniem transportu przez cieśninę Ormuz ceny nawozów w zależności od rodzaju i regionu USA poszły w górę o 30–40 proc.

Wysokie taryfy na stal i aluminium w połączeniu z rekordowymi cenami diesla podbiły z kolei koszty maszyn rolniczych. Na domiar tego Chiny wstrzymały zakupy amerykańskiej soi i nałożyły cła odwetowe na produkty rolne przywożone ze Stanów Zjednoczonych. Choć w maju Biały Dom ogłosił zawarcie porozumienia z Pekinem, na mocy którego Państwo Środka miało do końca 2026 r. nabyć amerykańskie zboża o wartości 17 mld dol., kwota ta w dużej mierze wciąż pozostaje na papierze. Czarę goryczy przelało zniesienie ceł na importowaną wołowinę, wskutek czego latem kraj zalało 300 tys. t taniego mięsa. Było to jedno z nielicznych posunięć administracji, które ściągnęły na nią falę krytyki ze strony republikanów reprezentujących w Kongresie najbardziej protrumpowskie okręgi.

Przed rozpętaniem wojny handlowej spora część społeczności w USA popierała cła, licząc, że ochronią one rodzimych producentów przed zagraniczną konkurencją. Dziś wielu z nich czuje się rozgoryczonych. W sondażu Associated Press i KFF prawie 6 na 10 mieszkańców terenów wiejskich wystawiło negatywną recenzję polityce gospodarczej Trumpa, a trzy czwarte oceniło koszty życia jako „znośne" lub „wysokie".

Kumulacja ekonomicznych bolączek zaburzyła na wsi dotychczasowy układ sił, lecz nie oznacza to, że 3 listopada tamtejsi wyborcy masowo zmienią sympatie partyjne. Trump nie zainaugurował „złotego wieku", który przyrzekał rolnikom w kampanii, ale większość z nich nie porzuciła haseł MAGA – co najwyżej zawiodła się na talencie negocjacyjnym prezydenta. Albo doszła do wniosku, że osuszenie bagna w Waszyngtonie zajmie mu trochę więcej czasu. W wiejskiej Ameryce demokraci nadal są często kojarzeni z wielkomiejskimi elitami, które patrzą z wyższością na prowincjuszy, wyśmiewają ich styl życia i tradycyjne wartości oraz drenują kasę publiczną, by finansować programy dla mniejszości. Dzielą ich też poglądy w kwestiach kulturowych, takich jak aborcja czy prawa osób transpłciowych. Bardziej prawdopodobne, że zawiedzeni trumpiści zrezygnują z pójścia do urn.

W kilku stanach przyzwyczajeni do łatwych zwycięstw republikanie nieoczekiwanie muszą intensywnie zabiegać o głosy. Dotyczy to zwłaszcza wyścigu senackiego w Teksasie, gdzie James Talarico, demokrata łączący lewicowy populizm gospodarczy z językiem ewangelii, przeciągnął na swoją stronę zdecydowaną większość niezależnych wyborców, a nawet grupę umiarkowanych konserwatystów. Najnowsze sondaże dają mu niewielką przewagę nad Kenem Paxtonem, byłym prokuratorem generalnym z bagażem korupcyjno-obyczajowych skandali. Jeśli Talarico zwycięży 3 listopada, będzie pierwszym od 1988 r. politykiem Partii Demokratycznej wybranym w Teksasie do izby wyższej.

Jeszcze większego wyczynu może dokonać kandydat lewicy w Kansas. Adam Hamilton, polityczny debiutant i pastor megakościoła metodystycznego, idzie tam łeb w łeb z ubiegającym się o reelekcję Rogerem Marshallem. Tak wyrównanego wyścigu w Kansas nie pamiętają najstarsi kronikarze amerykańskich wyborów: ostatni demokrata dostał się stamtąd do Senatu w 1932 r., kiedy w kraju szalał największy w historii kryzys gospodarczy, a Wielkie Równiny pustoszyła przewlekła susza. Dużą niespodzianką jest też ostra rywalizacja w Iowa, gdzie o mandat walczy Josh Turek, paraolimpijczyk i stanowy legislator, określający się jako „preriowy populista". Turek przekonuje, że Waszyngton służy dziś interesom technooligarchów i korporacyjnych monopoli, podczas gdy klasy pracującej coraz trudniej opłacić leczenie czy mieszkanie. Podobny ton wybrzmiewa u wszystkich demokratów, którzy przebijają się na konserwatywnej prowincji. W ich programach dominują praktyczne kwestie ważne dla zwykłych Amerykanów: opanowanie drożyzny, lepszy dostęp do opieki zdrowotnej, podniesienie płacy minimalnej i zatrzymanie ekspansji centrów danych. Inny nośny temat to walka z korupcją i ograniczenie przywilejów polityków, takich jak możliwości handlu akcjami przez członków Kongresu i ich rodziny.

Magia marki Trump

Aby ulżyć wyborcom, dystansujący się od Białego Domu republikanie zaproponowali embargo na eksport oleju napędowego i zawieszenie poboru akcyzy. Przywódca MAGA, który wygrał obietnicą błyskawicznego opanowania drożyzny, nie wydaje się jednak zbytnio zainteresowany ich pomysłami. Ma własny przepis na stłumienie frustracji w prawicowej bazie: zapowiedział, że jeśli jego obóz utrzyma kontrolę nad obiema izbami Kongresu, każdy dorosły Amerykanin dostanie od rządu 5 tys. dol.

Nadal niezachwianie wierzy w magię marki Trump – na wiecach namawia ludzi, „by głosowali tak, jakby to on sam kandydował". W stanach, które rozstrzygną o losach wyborów, jego osobiste zaangażowanie w kampanię nie jest już powszechnie traktowane jako polityczny dopalacz, lecz jako przejaw narcystycznej głuchoty. Według doniesień Politico wielu republikanów z wahających się okręgów dało do zrozumienia otoczeniu szefa administracji, by nie odwiedzał ich przed dniem głosowania. Być może to tłumaczy, dlaczego jego trasę występów wypełniają najbardziej konserwatywne rejony USA, gdzie może liczyć na entuzjastyczne przyjęcie.

Niepisana reguła amerykańskiej polityki mówi, że kandydaci partii, z której wywodzi się urzędujący prezydent, w wyborach połówkowych zbierają baty. Obywatele traktują je bowiem jako referendum w sprawie prezydenta, niezależnie od tego, kto startuje. W 2006 r., gdy wojna w Iraku pogrążała George'a W. Busha, demokraci odbili obie izby Kongresu. Cztery lata później to oni zapłacili za pierwsze rozczarowania prezydenturą Baracka Obamy, tracąc większość w izbie niższej. Odzyskali ją w 2018 r., gdy mieszkańcy pasa rdzy, którzy wynieśli Trumpa do Białego Domu, ukarali go za chaotyczny styl rządzenia. Jest niemal pewne, że ta sama reguła zadziała przeciwko niemu 3 listopada: według najnowszych sondaży demokraci wyraźnie prowadzą w wyścigu o Izbę Reprezentantów i liczą się w grze o Senat. ©℗

Więcej tekstów tej autorki
Skanuj kod!
DGP.pl

eprasa.pl 3965647923

Ani zdrajca, ani wróg

Polska jest znaczącym elementem amerykańskiej strefy wpływów, więc nawet obecnej administracji Stanów Zjednoczonych raczej nie przyjdzie do głowy oddać tak wartościowych aktywów

Piotr

Wójcik

Prorosyjska korekta polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych wywołała poważne obawy i pytania, czy można jeszcze liczyć na Waszyngton w kwestiach fundamentalnych. Przez media internetowe przeszła fala materiałów okraszonych tytułami w stylu „USA zdradzą Polskę jak Ukrainę?". Na niedawnym zamkniętym spotkaniu eksperckim można było usłyszeć od pewnej analityczki, że „USA należy już zacząć traktować jak wroga", co nie spotkało się ze stanowczą dezaprobatą pozostałych uczestników, chociaż mogło tu chodzić o kurtuazję. Padają więc najcięższe słowa, chociaż nadal jest niezwykle mało prawdopodobne, że USA staną się wrogiem Polski lub sojusznikiem Rosji w dającej się przewidzieć przyszłości.

Niewątpliwie prezydentura Donalda Trumpa wyrządza duże szkody wspólnocie Zachodu, a ostatnie posunięcia Waszyngtonu były niekorzystne z punktu widzenia Polski i Europy. Przede wszystkim uderzają one jednak w Ukrainę. Trump najpierw zawiesił na pół roku część sankcji wymierzonych w Rosję, umożliwiając podmiotom z USA import rosyjskiego oleju napędowego. Kilka dni później zrezygnował z wykonania uprawnień, jakie daje mu ustawa Lindseya Grahama, która umożliwia nałożenie dodatkowych ceł na państwa kupujące od Moskwy paliwa.

Niestety oprócz kwestii energetycznych pojawiły się informacje o ograniczeniu prędkości systemu satelitarnego Starshield, co utrudniło Ukraińcom zestrzeliwanie nadlatujących z Rosji dronów. Decyzja musiała zapaść w Pentagonie, który sprawuje pełną kontrolę nad tą częścią systemu stworzonego przez spółkę SpaceX Elona Muska. Co gorsza, Amerykanie obcięli również dostarczane Kijowowi informacje z rozpoznania, co uniemożliwiło wykrywanie na początkowym etapie wystrzeliwanych przez Moskwę rakiet balistycznych. Wszystko to zostało podkreślone krytycznymi wypowiedziami Trumpa w stosunku do prezydenta Wołodymira Zełeńskiego, według których to Kijów jest odpowiedzialny za cały wzrost cen paliw na świecie (atakując rafinerie) i przedłużanie wojny nad Dnieprem. Według przedstawicieli administracji USA ta zmiana w polityce i narracji ma służyć utrzymaniu Kremla przy stole rokowań i skłonieniu Putina do podpisania przynajmniej rozejmu. Ten kosz marchwi podarowany Kremlowi sprawia jednak wrażenie, jakby Biały Dom chciał raczej przymusić Kijów do podpisania niekorzystnej umowy pokojowej.

Taktyka na wewnętrzny użytek

Powody do zmartwień są więc realne, jednak wyciąganie z nich szerszych wniosków na temat całej wielowymiarowej współpracy między Polską a USA jest całkowicie nieadekwatne. Donald Trump jest politykiem niestabilnym i nieprzewidywalnym. Obecnie większość jego uwagi skupiona jest na zbliżających się wyborach częściowych do Kongresu. Według badania opublikowanego przez Agencję Reutera 20 października poparcie dla prezydenta spadło już do poziomu ledwie 31 proc., a dla Partii Republikańskiej (GOP) do 35 proc. Partia Demokratyczna cieszy się sympatią 47 proc. respondentów.

Absolutnie kluczowymi kwestiami, które zajmują głowy amerykańskich obywateli, są koszty żywności i artykułów konsumenckich oraz ceny paliw. Według danych Pew Research z 8 października między styczniem a październikiem odsetek „bardzo zainteresowanych" kosztami życia wzrósł z 66 proc. do 73 proc. Odsetek bardzo zainteresowanych cenami paliw skoczył w tym czasie z 43 proc. do 74 proc., co wywindowało tę kategorię z czwartego na pierwsze miejsce wśród najważniejszych tematów. Na trzecim znalazły się koszty mieszkaniowe (66 proc.), a na czwartym kłopoty ze znalezieniem odpowiedniej pracy (48 proc.). Przynajmniej część tych problemów jest efektem niepotrzebnej wojny z Iranem, jednak Trump nie zamierza ani przyznać się do błędu, ani nawet wycofać z konfliktu. Postanowił więc zadziałać dwutorowo. Po pierwsze, zrzucił winę na Ukraińców, co było dla niego tym łatwiejsze, że osobiście nie znosi prezydenta Zełeńskiego, a po drugie, pokazał Amerykanom swoje wysiłki zmierzające do obniżenia cen paliw.

Zwrot Waszyngtonu w kierunku Moskwy ma więc charakter taktyczny, a nie strategiczny. Poza tym nie można sprowadzać całych Stanów Zjednoczonych do Donalda Trumpa, którego kadencja kończy się już za nieco ponad dwa lata. Demokraci nie zniknęli z powodu porażki Kamali Harris, a opór przeciw działaniom Białego Domu występuje także wśród republikanów. Jak wskazuje serwis Axios, posunięcia prezydenta skrytykowali senatorka Darline Graham oraz senator z Karoliny Północnej Thom Tillis, który nazwał je „całkowicie nieodpowiedzialnymi". „Coraz liczniejszy chór republikanów w Izbie Reprezentantów ostrzega, że jest gotowy zablokować dodatkowe finansowanie Pentagonu, jeśli administracja nie zaostrzy polityki wobec Rosji" – napisał 18 października serwis The Hill.

Oczywiście kolejnym prezydentem USA niekoniecznie będzie reprezentant Partii Demokratycznej lub niechętna Trumpowi część GOP. Jest całkiem prawdopodobne, że elekcję wygra ktoś z obozu aktualnej administracji, np. J.D. Vance, który w rozmowie z podcastem 2WAY TONIGHT stwierdził, że w jego opinii Ukraina nie powinna być w NATO. Poza tym zarówno nowa strategia Stanów Zjednoczonych, jak i związana z nią koncepcja NATO 3.0 autorstwa podsekretarza obrony Elbridge'a Colby'ego przewidują ograniczenie obecności US Army na Starym Kontynencie i przeniesienie odpowiedzialności za bezpieczeństwo konwencjonalne na europejskich sojuszników. Amerykanie mieliby jednak nadal odpowiadać za parasol atomowy oraz rozpoznanie i wywiad – czyli za te obszary, w których Europa nie jest w stanie zastąpić USA. Jest wielce prawdopodobne, że ta strategia będzie kontynuowana bez względu na to, kto przejmie stery po Trumpie.

Aktualny sposób komunikowania tych zmian przez Biały Dom, pełen manipulacji i niesprawiedliwych zarzutów wobec Europy, jest nieznośny i nieuzasadniony. Abstrahując od krzykliwej retoryki Trumpa, same w sobie zmiany polityki USA trudno jednak nazwać zdradą. Amerykanie mierzą się z coraz trudniejszą rywalizacją z Chinami, więc potrzebują zwiększyć siły na Pacyfiku kosztem chociażby Włoch (ok. 13 tys. żołnierzy USA) czy części kontyngentu w Niemczech (ok. 37 tys.). Warszawa powinna więc dążyć do tego, by te zmiany nie odbyły się kosztem Polski, która jest fundamentem bezpieczeństwa północno-wschodniej flanki NATO. Gdyby zaś Amerykanów faktycznie należało postrzegać jako wroga, to ograniczenie ich liczebności wojskowej w Europie powinno się odbierać z ulgą, a nie jako problem.

Jedyny taki sojusz

Relacje z Europą to jedno, a drugie to polityka Waszyngtonu wobec Ukrainy. Aktualnie ciężar finansowy dozbrajania Ukrainy spoczywa całkowicie na barkach europejskich członków NATO. Biały Dom, by rzec oględnie, nie buduje zaufania do USA nad Wisłą, jednak relacje Waszyngtonu z Warszawą mają zupełnie inny charakter i są na zdecydowanie wyższym poziomie. Dosadnie podsumował to J.D. Vance we wspomnianym wywiadzie, gdy stwierdził: „O ile wiem, nie mamy oficjalnej umowy sojuszniczej z Ukrainą".

Chociaż Ukraina bywa potocznie określana w debacie publicznej jako „sojusznik", to formalnie rzecz biorąc, nie jest nim ani dla Polski, ani dla USA. Tymczasem Polskę i USA łączy formalny pakt wojskowy, który krystalizuje się w art. 5 NATO zobowiązującym jego członków do wzajemnej pomocy wojskowej w razie zagrożenia. Zależy to w szczegółach od uzgodnień politycznych, ale NATO i tak jest najbardziej zorganizowanym paktem wojskowym na świecie. Trudno znaleźć jego odpowiednik, w którym sojuszników łączyłyby równie głębokie więzi, takie jak stacjonowanie sojuszniczych kontyngentów, nieustanne patrolowanie przestrzeni powietrznej nad całym terytorium z reagowaniem na jej naruszenia włącznie, ciągłe wspólne ćwiczenia i manewry, dzielenie się informacjami wywiadowczymi (nawet jeśli nie wszystkimi), regularne szczyty szefów rządów i ministrów obrony czy tworzenie mechanizmów działania na wypadek licznych scenariuszy. Żaden inny pakt wojskowy na świecie nie wytworzył tak głębokich relacji między członkami. Gdy w 2023 r. Azerbejdżan odbił Górski Karabach z rąk Armenii, która jest członkiem poradzieckiej Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, Kreml nie zdobył się nawet na zdecydowane oświadczenia, o realnej pomocy ze strony Rosji czy innych sojuszników nie wspominając. Co zresztą jest obecnie główną przyczyną zbliżenia Erywania z Unią Europejską.

Abstrahując od oceny wojny w Iraku, wspólne doświadczenia zbudowały między żołnierzami z krajów sojuszu zaufanie, które trudno przecenić. Gdy na początku 2026 r. rozochocony sukcesem w Wenezueli Trump zlecił dowództwu opracowanie planu aneksji Grenlandii, członkowie sztabu się temu sprzeciwili – nie zamierzali nielegalnie zaatakować sojusznika. To kolejny dowód na to, że USA to nie tylko aktualna administracja, lecz cała sieć przeróżnych instytucji i służb, które trwają niezależnie od zmian kadrowych w Białym Domu. NATO natomiast nie istnieje wyłącznie na papierze, lecz jest codziennym doświadczeniem tysięcy żołnierzy. Donald Trump nie jest w stanie go rozmontować w ciągu jednej kadencji, chociaż może mu zaszkodzić.

Kijów nie pomaga

Ukraina jest zaś dla Waszyngtonu jedynie partnerem, i to dosyć trudnym. Zaufanie Amerykanów do Ukraińców jest ograniczone, gdyż Kijów wielokrotnie je nadwyrężał swoimi działaniami. Mowa przede wszystkim o kolejnych skandalach korupcyjnych, które odsłaniają skalę defraudacji środków płynących nad Dniepr w celu wsparcia kraju w wojnie z Rosją. Kijów wykazuje się wobec swoich kluczowych partnerów nielojalnością. Obecnie uwikłał się

eprasa.pl 3965647923

w spór z Koreą Południową, gdyż prezydent Zełeński podczas wrześniowego wystąpienia w ONZ ujawnił przekazanie Seulowi koreańskich jeńców z Północy złapanych nad Dnieprem. W reakcji Seul odwołał swojego ambasadora w Kijowie, jednak Ukraińcy szli w zaparte, przekonując, że nie było żadnych uzgodnień dotyczących tajności tej operacji. To jeszcze bardziej rozjuszyło Koreańczyków, którzy postanowili zostawić w placówce w Kijowie wyłącznie swojego chargé d'affaires i niezbędny personel.

Kijów jest też dla Amerykanów, brzydko mówiąc, petentem, który wymaga wsparcia finansowego i politycznego, nie dając gwarancji zwrotu. W ogromnej mierze jest to efekt trwającej już od 2014 r. rosyjskiej agresji i bardzo niepewnej przyszłości państwa. Amerykanie mają nad Dnieprem pewne aktywa, ale z perspektywy Waszyngtonu są one drugorzędne. Według analizy banku Lloyds „Foreign direct investment (FDI) in Ukraine" w 2025 r. wszystkie bezpośrednie inwestycje zagraniczne w Ukrainie osiągnęły wartość niespełna 60 mld dol. Amerykański kapitał odpowiadał za 5 proc., czyli ok. 3 mld dol. Inwestorzy z USA często lokują kapitał za pośrednictwem państw „przyjaznych podatkowo", takich jak Holandia czy Cypr, więc można uznać, że kwota jest w rzeczywistości większa, wciąż będzie to jednak mniej niż 10 mld dol.

Polska jest dla USA i dla wszystkich państw Zachodu znacznie ważniejszym miejscem prowadzenia biznesu. Według danych NBP w 2024 r. stan BIZ w Polsce sięgnął 360 mld dol. (1,4 bln zł), z czego ok. 32 mld dol. ulokowały przedsiębiorstwa z kapitałem amerykańskim. Niespełna jedna trzecia BIZ w Polsce lokowana jest w przetwórstwie przemysłowym – w Ukrainie to niespełna jedna piąta. Co więcej, Polska – w przeciwieństwie do Ukrainy – od trzech i pół dekady nieustannie się rozwija (pomijając 2020 r.), więc realna wartość tych inwestycji rośnie, a spółki znad Potomaku osiągają nad Wisłą ogromne zyski. Według raportu McKinsey & Company „Partnerstwo na dekady", w 2024 r. amerykańskie firmy posiadały w Polsce aktywa o wartości 75,5 mld dol. i wygenerowały aż 88,4 mld dol. przychodów. Rekordy bije również polsko-amerykańska towarowa wymiana handlowa, która według danych Ministerstwa Rozwoju i Technologii w 2025 r. osiągnęła wartość 28,7 mld dol. (rok wcześniej 26 mld dol.), będąc przy tym idealnie zbilansowana. Polska wyeksportowała do USA dobra warte 14,5 mld dol., a w drugą stronę popłynęły produkty za 14,2 mld dol. W handlu usługami to Amerykanie są o 300 mln dol. do przodu (4,2 mld dol. do 3,9 mld dol.). Inwestycje amerykańskie w Polsce to coraz częściej branże wysoko rozwinięte pod względem technologicznym. Microsoft buduje w Polsce infrastrukturę pod usługi chmurowe dla całego regionu Europy Środkowo-Wschodniej, a Google ma w Warszawie siedzibę w kompleksie biurowców The Warsaw Hub i kampus na Pradze-Północ. W polskiej dolinie lotniczej zakłady produkcyjne posiadają Lockheed Martin i Pratt & Whitney.

Nawet zakładając, że jakiejś amerykańskiej administracji przyszłoby do głowy, żeby oddać Polskę w rosyjską strefę wpływów, Biały Dom musiałby pokonać ogromny sprzeciw rodzimego biznesu i polskiej diaspory w USA, której znaczenie regularnie podkreśla sam Donald Trump.

Polska jest też jednym z najmniej spenetrowanych przez Państwo Środka krajów Europy, co w oczach Amerykanów jest kolejnym znaczącym atutem. „Skumulowane chińskie bezpośrednie inwestycje zagraniczne (BIZ) w Polsce w latach 2000–2024 wyniosły ok. 5 mld dol., w porównaniu z ok. 40 mld dol. w Niemczech, 27 mld dol. we Francji, 18 mld dol. we Włoszech i prawie 9 mld dol. na Węgrzech" – pisze Sebastian Meitz na łamach The Jerusalem Strategic Tribune w tekście „Is America Losing Poland?" z kwietnia tego roku.

Jajka w wielu koszykach

Mówiąc językiem inwestorów, Polska jest bardzo znaczącym aktywem w amerykańskim portfelu. Nikt nie oddaje tanio takich aktywów, a Rosja nie ma potencjału, by zaoferować za nie cenę, na którą warto byłoby w ogóle spojrzeć. Nawet Donald Trump, który jest w stanie sprzedać wiele, na temat statusu Polski nie wchodzi z Rosjanami w dyskusję, chociaż Kreml regularnie wysyła sygnały, że pierwotne przyczyny wojny nad Dnieprem dotyczą całego regionu. Ukraina na poważnie stara się dostać w orbitę Zachodu dopiero od 2014 r. i idzie jej to jak po grudzie – niestety. W niemałej mierze jest to wina ukraińskich elit, które nie wykorzystały licznych okazji, by przestawić kraj oraz jego instytucje na jednoznaczny kierunek prozachodni.

To nie oznacza, że zwrot w polityce zagranicznej Waszyngtonu i spadek zaufania do USA w Europie nie są znaczące. Nawet jeśli w „Jałcie 2.0" znaleźlibyśmy się tym razem po tej korzystnej stronie, to sam fakt zaistnienia nowego koncertu mocarstw dla państw średnich jest bardzo złą wiadomością, szczególnie w dłuższej perspektywie. Dlatego też obok relacji z USA należy pogłębić swoje zakorzenienie w Zjednoczonej Europie. Warszawa to robi – kontrakty zawarte w ramach programu zbrojeniowego SAFE będą realizowane przez lata, a spłacane przez dekady. Polska rozwija też współpracę z prozachodnimi krajami Dalekiego Wschodu – Koreą Południową, Japonią i Tajwanem. Nie jest więc prawdą, że Warszawa włożyła wszystkie jajka do jednego koszyka. Wręcz przeciwnie, stara się równocześnie rozwijać relacje z USA i Europą, co paradoksalnie ułatwia aktualny podział władzy wykonawczej między prawicę a liberałów. W coraz bardziej spolaryzowanym świecie Zachodu kohabitacja ma swoje zalety. ©℗

Więcej tekstów tego autora Skanuj kod! DGP.pl



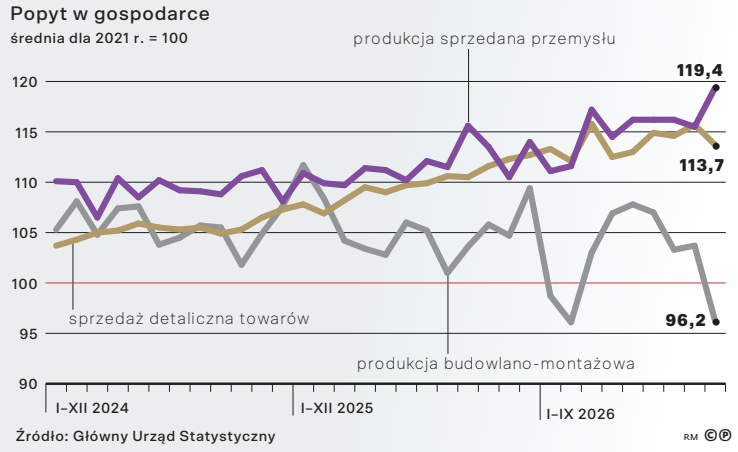
Mniej Więcej

Łukasz

Wilkowicz

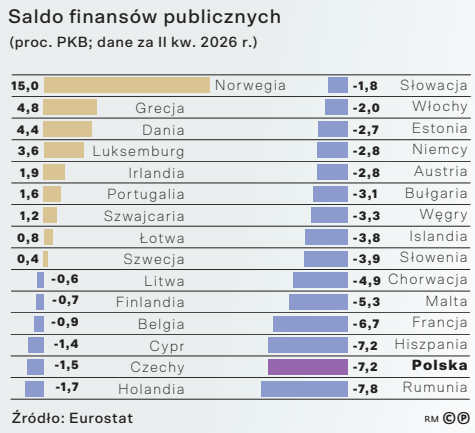
Budownictwo w dół, przemysł rozpędzony

Końcówka III kw. nie była dla naszej gospodarki szczególnie udana, ale nie było też pogorszenia koniunktury. W ostatnich dniach GUS przedstawił rozmaite dane za wrzesień. Najsłabiej radzi sobie budownictwo ciągnięte w dół przez segment wznoszenia budynków (co jest niekorzystnym sygnałem sytuacji w mieszkaniówce). Tu produkcja we wrześniu była o 9 proc. niższa niż rok wcześniej (jeśli porównamy okres od stycznia do września tego i poprzedniego roku, zobaczymy, że spadek wyniósł 4,7 proc.). Sprzedaż detaliczna była we wrześniu o 3,3 proc. wyższa niż rok wcześniej w ujęciu realnym. W pierwszych trzech kwartałach wzrost wynosił średnio 3 proc. Najlepiej prezentuje się przemysł. Tu produkcja sprzedana była o 4,6 proc. wyższa niż rok wcześniej (średni wzrost w okresie styczeń–wrzesień to 3,6 proc.). ©℗



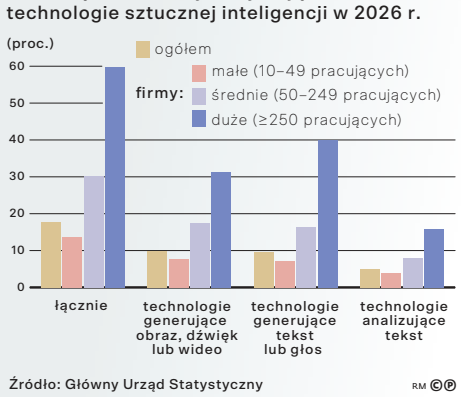
Koszty wysokiego deficytu

W II kw. deficyt sektora rządowego i samorządowego wyniósł u nas 7,2 proc. PKB. Eurostat podaje, że większy od nas deficyt miała tylko Rumunia. W Hiszpanii nadwyżka wydatków nad dochodami w relacji do PKB była taka sama jak u nas. Dalej jest kraj, o którego kłopotach z finansami publicznymi jest ostatnio najgłośniej, czyli Francja. Dla państw z wysokimi deficytami jednym z największych problemów są wysokie koszty finansowania (albo liczone od wysokiego zadłużenia, albo same z siebie wysokie; bywa, że i takie, i takie). Wśród krajów monitorowanych przez Eurostat najwyższe koszty obsługi długu miały w II kw. Włochy – 5 proc. PKB. ©℗



Chętniej sięgamy po AI

W tym roku już niemal 40 proc. Polaków w wieku 16–74 lat korzystało z narzędzi sztucznej inteligencji – wynika z nowego badania GUS. W porównaniu z poprzednim rokiem oznacza to wzrost o 17 pkt proc. Wzrost dotyczył wszystkich grup wiekowych. Wśród najmłodszych (16–24 lata) odsetek korzystających z AI to już 72,5 proc. wobec 49,3 proc. rok wcześniej. Wśród najstarszych badanych (65–74 lata) nastąpił wzrost z 2,6 proc. do 9 proc. Poprawa dotyczy również firm. W ub.r. korzystanie z narzędzi AI deklarowało 8,7 proc. przedsiębiorstw. Teraz przyznaje się do tego 17,8 proc. ankietowanych przedsiębiorstw. ©℗



eprasa.pl 3965647923

Nowy rząd, stara polityka

Na kilka dni przed wyborami w Izraelu koalicja Binjamina Netanjahu i opozycja pod wodzą Gadiego Eisenkota idą na remis. Duży wpływ na to, kto przejmie władzę, może mieć wynik nawołującej do pokoju lewicowej koalicji

Karolina

Wójcicka

korespondencja z Tel Awiwu



Na przedwyborcze spotkanie Wspólnej Listy, sojuszu partii arabskich i żydowskich, przyszło ok. 30 osób. Wydarzenie zorganizowano w kawiarni w Jaffie, palestyńskim mieście portowym, które po powstaniu Izraela zostało włączone do Tel Awiwu. Z oddali mogo ono bardziej przypominać zebranie członków spółdzielni mieszkaniowej kłócących się o remont dachu niż wiec polityczny z udziałem czołowych przedstawicieli lewicy. Zresztą do niedawna niewiele osób uważało, że ugrupowania te mają większe znaczenie niż lokalne spory osiedlowe. Izraelskie społeczeństwo przez lata coraz wyraźniej skręcało w stronę etnonacjonalistycznej prawicy, a po ataku Hamasu z 7 października 2023 r. tym bardziej nie chciało popierać tych, którzy marudzą o ludobójstwie w Strefie Gazy i pokoju w regionie.

Małe spędy idących pod prąd Izraelczyków można by i dziś traktować głównie jako ciekawostkę, gdyby nie to, że arytmetyka wyborcza nieubłaganie pcha ich w rolę tzw. kingmakera, czyli siły, od której może zależeć, kto obejmie władzę. Sami, jak poprawia mnie sztabowiec Wspólnej Listy Amnon Brownfield Stein, unikają tego określenia, bo „nie mają nad sobą żadnego króla".

Prawica albo Palestyna

Według sondaży ani koalicja pod wodzą Binjamina Netanjahu, w której skład wchodzą liderzy skrajnej prawicy Itamar Ben-Gwir i Becalel Smotricz, ani szeroki blok syjonistycznej opozycji kierowany przez Gadiego Eisenkota nie mają szans na samodzielne rządzenie. Na kilka dni przed zaplanowanymi na 27 października wyborami badania pokazują niemal idealny remis: średnio 51 mandatów dla obozu Netanjahu i 51,25 dla opozycji. Tymczasem do budowy rządu potrzeba ich 61. W takim układzie niewielkie ugrupowania mogą zyskać nieproporcjonalnie duży wpływ na to, kto ostatecznie przejmie stery.

Z sondażu Midgam R&C wynika, że sojusz partii arabskich i żydowskich może zdobyć nawet dziewięć mandatów. Na razie niewiele jednak wskazuje na to, by któryś obóz chciał zaprosić Wspólną Listę do koalicji. Netanjahu od dawna wyklucza współpracę z partiami arabskimi, które również nie są zainteresowane takim scenariuszem. Podobne stanowisko zajął Gadi Eisenkot, główny rywal premiera.

Sami Abu Shehadeh, palestyński polityk z izraelskim paszportem i przywódca wchodzącej w skład Wspólnej Listy partii Balad uważa, że za takim podejściem stoi rasizm. – Nie chcą Arabów w koalicji. Oczywiście można odmówić konkretnej partii udziału w rządzie, ale wtedy trzeba wyjaśnić dlaczego. Jaki spór polityczny uniemożliwia wam wspólne zasiadanie w rządzie? A oni po prostu mówią, że nie będą współpracować z Arabami, bo są Arabami – krzyczał na środowym wiecu w Jaffie.

Odstępstwo od antypalestyńskiej linii mogłoby się okazać dla Eisenkota politycznie zabójcze. Netanjahu regularnie straszy wyborców, że jego rywale planują połączyć siły z Arabami (w Izraelu raczej nie używa się określenia „Palestyńczyk") i utworzyć „niebezpieczny rząd". Jego sztab rozwiesił w całym kraju billboardy sugerujące, że wybór sprowadza się do czarno-białej alternatywy: „prawica albo Palestyna". Czołowych polityków opozycji, w tym tych o prawicowych poglądach, przedstawiono tak, jakby opowiadali się za tą drugą opcją. Otoczenie Netanjahu sięgnęła także po filmy wygenerowane przez sztuczną inteligencję, na których jego przeciwnicy obejmują arabskich przywódców.

Między złem a większym złem

Niewykluczone, że po wyborach, gdy nie będzie już musiał zabiegać o głosy osób niechętnych Palestyńczykom, Eisenkot zmieni stanowisko. Z rozmów DGP z izraelskimi politykami wynika jednak, że bardziej prawdopodobny scenariusz zakłada utworzenie przez opozycję rządu mniejszościowego, który Wspólna Lista mogłaby wspierać w głosowaniach, nie wchodząc formalnie do koalicji. – Zobowiązaliśmy się odsunąć od władzy tych ludobójczych faszystów. Gdyby, odpukać, ponownie wygrali wybory, oznaczałoby to zagładę narodu palestyńskiego, również na terytorium samego Izraela. Będzie to także koniec jakichkolwiek prób naprawy demokracji – przekonuje w rozmowie z DGP Ofer Kasif, poseł Wspólnej Listy, Żyd pochodzący z Krakowa.

Kasif należy do najostrzejszych krytyków rządu. W styczniu 2024 r. został zawieszony w prawach posła po tym, jak poparł postępowanie przeciwko Izraelowi wszczęte przez Republikę Południowej Afryki przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości w związku z zarzutem ludobójstwa. Podobna kara spotkała go po ataku Hamasu z 7 października 2023 r. W rozmowie z Al Dżazirą przekonywał wówczas, że jego partia Hadasz ostrzegała, iż dalsza okupacja terytoriów palestyńskich doprowadzi do eskalacji przemocy.

Teraz, jak zapewnia, zrobi wiele, by odsunąć od władzy koalicję pod wodzą Netanjahu. – Jeśli będzie to oznaczać, że w określonych okolicznościach i pod pewnymi warunkami będziemy musieli poprzeć nowy rząd albo przynajmniej wstrzymać

W kampanii sprawa palestyńska jest właściwie nieobecna. Główne tematy to m.in. pobór ultraortodoksyjnych Żydów do wojska i dochodzenie w sprawie błędów, które doprowadziły do ataku Hamasu

eprasa.pl 3965647923



Billboard przedstawiający liderów Wspólnej Listy: (od lewej) Sami Abu Shehadeh, Jusuf Dżabarin, Ahmad at-Tajjibi

FOT. AHMAD GHARABLI/AFP/EAST NEWS

się od głosu w sprawie jego powołania, zrobimy to – deklaruje. Zastrzega, że byłby to wybór „nie między dobrem a złem, lecz między złem a jeszcze większym złem".

Warunki są trzy: w zamian za poparcie oczekuje od przyszłego rządu przygotowania budżetu i planu walki z przestępczością w palestyńskich społecznościach w kraju, zaprzestania wyburzania domów Palestyńczyków oraz zobowiązania do działań na rzecz rozwiązania dwupaństwowego.

Nie są to żądania szczególnie kontrowersyjne ani wygórowane. Koncentrują się niemal wyłącznie na poprawie sytuacji palestyńskich obywateli Izraela. Palestyńczycy, którzy pozostali w granicach państwa po wojnie towarzyszącej jego powstaniu w 1948 r., oraz ich potomkowie stanowią dziś ok. 20 proc. ludności. Mają izraelskie obywatelstwo, a wraz z nim prawo do głosowania.

Mimo to ich sytuacja jest znacznie trudniejsza niż żydowskich obywateli. Na co dzień doświadczają dyskryminacji, a ich społeczności zmagają się z gwałtownym wzrostem przestępczości. Wskaźnik zabójstw wśród palestyńskich obywateli Izraela jest ponad 22 razy wyższy niż wśród izraelskich Żydów, choć wskaźniki aresztowań i postawionych zarzutów są wśród nich wyraźnie niższe. Arabscy działacze wskazują na zaniedbania policji jako jedną z głównych przyczyn tego stanu rzeczy.

Nasuwa się jednak pytanie, czy w razie objęcia władzy Eisenkot potraktowałby te postulaty poważnie. Historia izraelskiej polityki sugeruje, że nie jest to oczywiste. W 2021 r. Ra'am, niewielka konserwatywna partia islamistyczna odłączyła się od Wspólnej Listy i jako pierwsze samodzielne ugrupowanie arabskie weszła do koalicji rządzącej, popierając powołanie krótkotrwałego rządu Naftalego Bennetta i Ja'ira Lapida. Jej lider Mansour Abbas uznał, że udział we władzy pozwoli skuteczniej walczyć o poprawę sytuacji palestyńskich obywateli Izraela niż pozostawanie w opozycji.

Rząd Bennetta i Lapida przyjął plan rozwoju społeczności arabskich, obejmujący m.in. edukację, transport, infrastrukturę i przeciwdziałanie przestępczości. Jednak w innych kwestiach jego posunięcia daleko odbiegały od oczekiwań Ra'am i interesów jej wyborców. „Polityka tego rządu stanowiła kontynuację działań poprzednich rządów Netanjahu, a zarazem wzmocniła projekt osadniczy oraz nasiliła wywłaszczenia i represje wobec Palestyńczyków na okupowanych terytoriach" – ocenia izraelska organizacja Peace Now.

Za rządów Bennetta i Lapida liczba nowych inwestycji osadniczych wzrosła o 62 proc. Od objęcia władzy do 6 czerwca 2022 r. izraelska administracja cywilna wyburzyła na obszarze C 639 palestyńskich budynków, pozbawiając dachu nad głową 604 osoby. To o 35 proc. więcej niż średnia roczna liczba wyburzeń za rządów Netanjahu (474 budynki). Bennett sprawował urząd premiera do końca czerwca 2022 r.

– Na świecie panuje pewnego rodzaju złudzenie, że mamy w Izraelu szalony rząd, ale Izraelczycy wybiorą kolejny i wszystko wróci do normy – stwierdziła na briefingu Yuli Novak, szefowa izraelskiej organizacji praw człowieka B'Tselem. Jej zdaniem nie ma powodów, by sądzić, że zmiana rządu odwróci główny kierunek izraelskiej polityki, ukształtowany na długo przed objęciem władzy przez obecną ekipę. – Rozbudowa osiedli, czystki etniczne, dehumanizacja, kontrola wojskowa, apartheid – to wszystko istniało już wcześniej. Nie ma wątpliwości, że w izraelskiej polityce jest odłam, który chce posunąć te działania jeszcze dalej. Są też tacy, którzy chcą stworzyć łagodniejszą, sympatyczniejszą formę apartheidu. W izraelskim, żydowskim i syjonistycznym spektrum politycznym nie widzimy nikogo, kto mówiłby o fundamentalnej zmianie tej sytuacji – oceniła Novak.

Chcemy działać

W kampanii wyborczej sprawa palestyńska jest właściwie nieobecna. Główne tematy to pobór ultraortodoksyjnych Żydów do wojska, przyszłość systemu prawnego i dochodzenie w sprawie błędów i zaniedbań, które doprowadziły do ataku Hamasu z 7 października.

Milczenie na temat Palestyńczyków może sprawiać wrażenie, że izraelska scena polityczna jest w tej kwestii zgodna. – Najbardziej lewicową opcją w głównym nurcie syjonistycznym są dziś demokraci, którzy przestali mówić o rozwiązaniu dwupaństwowym i programie pokojowym, a poparli umacnianie izraelskiej kontroli nad Strefą Gazy i południowym Libanem – stwierdza w rozmowie z DGP Noa Levy, kandydatka Wspólnej Listy do Knesetu.

Niemal wszyscy politycy przekonują, że dzięki ich nowej roli na scenie politycznej sytuacja może się zmienić. – Myślę, że w tych wyborach odsetek głosujących wśród arabskiej ludności znacząco wzrośnie. Jeśli osiągniemy 70 proc., żaden rząd nie będzie mógł nas zignorować. Nie da się utworzyć rządu bez negocjowania z nami i zaakceptowania części naszych warunków – mówi Levy. W ostatnich wyborach parlamentarnych, w 2022 r. do urn poszło zaledwie 53,2 proc. mieszkańców arabskich miejscowości, dużo mniej niż średnia krajowa – 70,6 proc. W tym roku badania wskazują na większą mobilizację. Wielu palestyńskich obywateli Izraela obawia się bowiem, że kolejne cztery lata pod rządami gabinetu uznawanego za najbardziej skrajny w historii kraju stanowiłyby egzystencjalne zagrożenie dla ich społeczności.

Levy uważa, że w takiej sytuacji ewentualny rząd Eisenkota będzie zależny od głosów Wspólnej Listy. – Jeśli spróbują kontynuować ludobójstwo, czystki etniczne i tę samą politykę, którą poprzedni rząd przeklął nas wszystkich, nie będą już mogli liczyć na nasze głosy – zapewnia.

Ten optymizm kłóci się jednak z coraz trudniejszą sytuacją partii arabskich, z którymi Kasif i Levy współtworzą koalicję. – Mamy do czynienia z systematyczną i nasilającą się dyskryminacją oraz narastającymi represjami, w tym politycznymi, wobec palestyńskich obywateli Izraela – mówi Novak.

W tegorocznej kampanii próbowano już nie dopuścić ugrupowań arabskich do startu. To zresztą praktyka powtarzająca się przed niemal każdymi wyborami: Centralna Komisja Wyborcza je dyskwalifikuje, po czym sprawa trafia do Sądu Najwyższego, który zazwyczaj uchyla decyzję. W tym roku presja była na tyle duża, że po sądowej przepychance Sami Abu Shehadeh sam wycofał swoją kandydaturę, powołując się m.in. na względy polityczne i bezpieczeństwa.

Jedyną szansą, by Wspólna Lista i inni politycy opowiadający się za pokojem zyskali realny wpływ na politykę, jest zmiana myślenia samych Izraelczyków. Jednak na razie niewiele wskazuje na to, by społeczeństwo było gotowe na taki zwrot. Z najnowszego sondażu Israel Democracy Institute wynika, że zaledwie 25 proc. izraelskich Żydów popiera możliwość rozpoczęcia negocjacji z Palestyńczykami. Badanie nie precyzowało, na jakich warunkach miałyby się one odbywać.

Politycy Wspólnej Listy wierzą, że są na fali wznoszącej i będą w stanie odwrócić ten trend. – Niektórzy uważają, że najpierw trzeba zmienić sposób myślenia ludzi, a dopiero potem podejmować konkretne działania. Sądzę, że działa to również w drugą stronę, być może nawet skuteczniej. Jeśli uda nam się coś zmienić i ludzie zobaczą, że to działa, sami zmienią zdanie. I właśnie to chcemy osiągnąć – przekonuje Kasif. Jako przykład podaje Polskę: – Lech Wałęsa osiągnął sukces, bo przede wszystkim działał, nie gadał. ©℗

Więcej tekstów tej autorki Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 3965647923

Kraj

Reset? Nie ma mowy

Nie byliśmy aniołkami, zrobiliśmy trochę błędów, ale na takiego bezczela jak obecny rząd nikt nie odważył się jechać. Sami się pogubili w interpretacjach rzeczywistości, a my mamy teraz pójść w reset i odciąć wszystko grubą kreską?

Z Michałem Wójcikiem

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

> Awantury o to, czy prezydent może odmówić nominacji ministra, jeszcze nie mieliśmy.

Cała ta historia z awansem dla Andrzeja Domańskiego to jak naplucie w twarz Polkom i Polakom. Mamy rekordowe tempo zadłużania kraju, 18 tys. zł na sekundę, po raz pierwszy od lat agencje ratingowe obniżają nam oceny, a facet ma dostać tekę wicepremiera?

> Możecie to oceniać jak najgorzej, wilcze prawo opozycji. Ale pytam pana również jako prawnika: czy prezydent może odmówić nominacji ministra?

Zwyczajowo było dotychczas tak, że uroczystość była formalnością. Ale...

> Artykuł 161 konstytucji: „Prezydent Rzeczypospolitej, na wniosek Prezesa Rady Ministrów, dokonuje zmian w składzie Rady Ministrów". Można to interpretować inaczej?

Wszystko mogę sobie wyobrazić, bo funkcja wicepremiera jest jedną z najważniejszych w rządzie. Nagradzanie Domańskiego za koszmarną pracę i tragiczne wyniki to prowokacja wymierzona w prezydenta. Czytałem stanowisko doktryny w tej sprawie i są spory. Nie wiem, co zrobi prezydent, ale być może przed nami kolejny konflikt o interpretację konstytucji. W czasach prezydenta Kwaśniewskiego była podobna sytuacja. Donald Tusk znowu próbuje przykryć swoje problemy: aferę w Szpitalu Południowym, sprawę z Kołodziejczakiem, z ratingami. Podgrzewa polityczne emocje. Wracając do Domańskiego – przecież cała awantura zaczęła się już wcześniej, przy okazji sporu o Trybunał Konstytucyjny. Ten facet jest pierwszym ministrem finansów, który zablokował pieniądze dla TK. Wykreślił w projekcie budżetu całą część szóstą, która dotyczy trybunału. Sędziowie mają nie dostawać pensji, rachunki za prąd czy wodę mają być nieopłacone. Jest ekspertyza sejmowa, która kategorycznie wyklucza taką możliwość.

> Zna pan linię rządu w tej sprawie – Bogdan Święczkowski nie zwołał Zgromadzenia Ogólnego sędziów TK, a więc nie złożył prawidłowego wniosku o budżet. Wszyscy gracie tu znaczonymi kartami.

To wymyk prawny Domańskiego i spółki. W przeszłości bywały sytuacje, gdy odpowiednie dokumenty wysyłano później. Nie jest tajemnicą, że gdy zwoływane jest Zgromadzenie Ogólne TK, dwójka sędziów, która w ostatnim czasie ślubowała wobec prezydenta, po prostu wychodzi, zrywając kworum. Chodzi o zagłodzenie trybunału. Zresztą czego się spodziewać po polityku, który na wieść, że Zbigniew Ziobro może trafić do aresztu, rzuca sobie beztrosko w telewizji: „Są takie chwile, dla których się żyje". Normalny człowiek mógłby od biedy powiedzieć o sprawiedliwości, ale taki tekst nie świadczy najlepiej o stanie umysłu ministra finansów.

> Powtórzę: wszyscy tutaj kiwacie na potęgę. Czym się to skończy?

Powiem panu, czym się to może skończyć. Jeszcze kilka miesięcy temu nie pomyślałbym o takim scenariuszu, ale spór jest tak zaogniony, że – niestety – wyobrażam sobie wariant, w którym rząd stwierdza, że prezydent nie wykonuje swoich obowiązków, a więc trzeba go odsunąć od pełnionej funkcji. Ktoś tam napisze opinię prawną, odbity Trybunał Konstytucyjny to klepnie, a obowiązki prezydenta przejmuje Włodzimierz Czarzasty. Patrząc na logikę sporu, który rozpętuje Donald Tusk, na 50 skierowanych do TK przez rząd spraw do załatwienia na cito, o czym pisały niedawno media, taki scenariusz trzeba brać pod uwagę. Oni zupełnie odpięli wrotki.

> A wy przez osiem lat byliście jak pokorniutkie i grzeczniutkie dziewczęta, przestrzegające każdego punktu regulaminu?

Nie, nie byliśmy aniołkami, zrobiliśmy trochę błędów, ale na takiego bezczela nikt nie odważył się jechać. Możemy dyskutować, ile rzeczywistości można zmieniać zwykłą ustawą, ale przyjmowaliśmy je, a prezydent podpisywał. Oni próbują obchodzić to uchwałami, rozporządzeniami, a w dłuższym horyzoncie czasowym kto wie, czy nie próbą pozbawienia Karola Nawrockiego funkcji prezydenta. Mówię o tym ze smutkiem, bo to strasznie rozbija Polskę. Klucze do wyjścia z tego politycznego piekła ma Donald Tusk. Problem w tym, że on się tam świetnie odnajduje, a niekiedy sprawia wrażenie, jak gdyby się tym bawił.

> To może rację mają ci, którzy apelują o reset? Takiego TK nie da się przywrócić do normalności i zapewnić mu uznania przez obie strony. Nie chcę po raz kolejny odbywać dyskusji o tym, kto zaczął, kto jest dublerem, a kto został nielegalnie zaprzysiężony.

Reset? Nie ma mowy. Jestem temu przeciwny, bo wysłalibyśmy tym sygnał, że legalnych sędziów, którzy zdecydowali się na pracę w trybunale, możemy wyrzucić z dnia na dzień, bo... w zasadzie co? Bo komuś nie podoba się Święczkowski jako prezes TK? Raz go uznają, raz piszą, że pełni obowiązki, jeszcze innym razem przekonują, że nawet nie jest sędzią. Sami się pogubili w interpretacjach rzeczywistości, a my mamy teraz pójść w reset i odciąć wszystko grubą kreską?

> Szczerze? Tak. Inaczej przez kolejne lata będziemy oglądać wojnę prawej ręki premiera Tuska – jak sam szef rządu mówił o Macieju Berku – z prawą ręką Zbigniewa Ziobry, bo przecież Bogdan Święczkowski nie od wczoraj jest waszym człowiekiem.

Nie ma takiej opcji. Dlaczego zrównywać te dwie postaci? Pan minister Berek miał proste zadanie – przy aplikowaniu o nową robotę dołączyć CV z potwierdzeniem, gdzie i jak pracował. Nie pokazał tego, nie mamy kwitów potwierdzających, że spełnił ustawowe wymogi. A do tego jest człowiekiem konkretnego układu politycznego, prawą ręką Tuska, który ma ustawiać TK. I mamy to resetować zamiast wyciągać wnioski?

> Oni wybrali Berka, a wy wybraliście Święczkowskiego, Pawłowicz, Piotrowicza. Mogę długo grać w tego ping-ponga.

Ale ja nigdy nie powiedziałem, że sąd konstytucyjny nie może mieć natury politycznej – a oni tak, obiecywali to, krzyczeli na wiecach, proponowali, by politycy mogli trafiać do trybunału dopiero po czteroletniej karencji. Ich hipokryzja boli nawet ich wyborców.

> Wrócicie do władzy i co? Wybierzecie kogoś w miejsce Berka i pozostałej czwórki? Będziemy bujać się przez kolejne kilka lat z oskarżeniami, że to dublerzy?

Za rok rzeczywiście należałoby stworzyć spokojną przestrzeń, by doszło do porozumienia między siłami politycznymi. Miejscem takiego spotkania mógłby być Pałac Prezydencki. Ale to nie może być prosty reset.

> Co dalej z prawicą na rok przed wyborami?

Wszystko w porządku. Mamy wiodącą partię, jaką bez wątpienia jest Prawo i Sprawiedliwość...

> Z tym „bez wątpienia" to pan nieco przesadził.

Nie. Ostatni protest w sprawie Trybunału Konstytucyjnego pokazał, że Jarosław Kaczyński świetnie wyczuwa takie momenty i jest prawdziwym liderem. W odróżnieniu od liderów innych partii prawicowych tylko on był przed TK.

> Na protest skrzyknęliście zaledwie kilka tysięcy osób. W styczniu 2024 r. potrafiliście wyprowadzić na ulice ponad 100 tys. I to w siarczystym mrozie.

To była spontaniczna akcja, pospolite ruszenie w dwa–trzy dni, by wysłać jasny sygnał w sprawie bezprawia, które dzieje się przed TK. Dalej jesteśmy w stanie zorganizować taki potężny marsz, nawet marsz miliona, wystarczy kilka miesięcy przygotowań i elementarne porozumienie między patriotycznymi stronami. Może zresztą będzie trzeba to zrobić przed wyborami.

> O jakim porozumieniu na prawicy pan mówi, skoro

eprasa.pl 3965647923

Patryk Jaki wprost cieszy się, że „zdrajców z nami już nie ma". Po takich słowach Mateusz Morawiecki miałby założyć wór pokutny i wrócić do Canossy?

Taki worek by mu się przydał, powinien jeszcze stać boso. Z dużym smutkiem słucham ostatnio Mateusza Morawieckiego, np. gdy mówi o resecie w sprawach, które pęczniały przez lata, takich jak kwestia TK. Wspominam o tym, bo mam przed oczami protestujących przed trybunałem, długo tam z nimi siedziałem, trwają na posterunku, są przekonani, że bronią demokracji i zasad, a Mateusz Morawiecki mówi im w sumie, że trzeba się dogadać z drugą stroną. On i jego ludzie nie wyczuwają, że w sprawie TK chodzi o coś więcej. Zresztą oni zawsze mieli problem z wyczuciem nastrojów społecznych, dlatego dzisiaj tańczą na progu wyborczym, często pod niego spadając. Już teraz widać, że projekt rozłamowy się nie udał, można gasić światło.

Bez przesady. Rozwój Plus istnieje zaledwie od dwóch miesięcy, czasem ma 3 proc., czasem 4 proc., a czasem 6,5 proc.

O wiele za mało jak na start. Który z wyborców prawicy będzie ryzykować oddanie na nich głosu, skoro jest duże prawdopodobieństwo, że spadną pod próg i wszystkie oddane na nich głosy się zmarnują? Mówię to bez satysfakcji, tam jest wielu sensownych ludzi, ale zbłądzili. Idzie adwent, czas nawrócić się i wrócić do PiS.

Pan też był kiedyś poza PiS. Wasz projekt Solidarnej Polski, a potem Suwerennej Polski miał swoje górki i dołki, ale koniec końców trzeba było wrócić na Nowogrodzką.

Tak i może dlatego potrafię zrozumieć, co się teraz dzieje w takim stowarzyszeniu jak Rozwój Plus. Wielu ludzi jest zawiedzionych, liczyło na więcej, ale powinniśmy ze sobą rozmawiać. Musimy zrozumieć, że głównym przeciwnikiem jest Donald Tusk. Jest też pewna różnica – minister Ziobro to człowiek, który w przeciwieństwie do Morawieckiego o wiele lepiej rozumie mechanizmy polityczne. Dlatego przez lata byliśmy przy władzy. Przypominam, że jako Solidarna Polska byliśmy częścią rządu – to było naprawdę dobre. Zresztą przyznam się czytelnikom, że nigdy nie zostałem wyrzucony z Prawa i Sprawiedliwości. Taka ciekawostka.

Zachęcacie ich do rozmów tekstami w stylu „dobrze, że zdrajców już nie ma"? Genialna strategia negocjacyjna.

Sam nie mogę powiedzieć, że płakałbym z powodu ich odejścia, ale patrzę kilka ruchów do przodu. Mogę sobie wyobrazić sytuację, w której stworzymy jeden szeroki namiot patriotyczny na wybory. Dużo zależy tu od samego Morawieckiego, ale po ostatnich paru miesiącach na pewno można stwierdzić, że nawet nie ma co go zestawiać z Kaczyńskim. Nie to doświadczenie, nie ta charyzma, nie ta wiedza i wyczucie nastrojów społecznych. Powie pan, że to lizusostwo, ale byłem dumny, gdy widziałem prezesa Kaczyńskiego w środku nocy przed TK.

Ma pan rację: to lizusostwo.

I dlatego nie chodzi mi o rozkminę, jak wielkim geniuszem politycznym jest Jarosław Kaczyński. Choć cała historia ostatnich lat pokazuje, że całkiem niezłym. Chodzi mi o zauważenie pewnych odruchów politycznych, mechanizmów, które powodują, że to prezes Kaczyński jest niekwestionowanym liderem po prawej stronie.

PiS już nigdy nie będzie hegemonem na prawicy – ogłosił Sławomir Mentzen. I jak patrzę na sondaże, trudno nie odnieść wrażenia, że przestaliście być jedynymi, którzy rozdają karty.

Sławek Mentzen? A czy przyszedł choć na chwilę do ludzi przed TK?

Nie, bo jest zwolennikiem resetu w sprawie trybunału.

W takich sytuacjach trzeba być z ludźmi, oni muszą czuć, że lider jest z nimi, gdy trzeba, a sytuacja jest zero-jedynkowa. Kiedy naruszane są prawa człowieka i elementarne zasady demokracji, lider nie powinien bawić się w publicystę, który zawsze jest na „nie", bo chce prezentować antysystemowy wizerunek.

Nawet jeśli obrazek wysłany w świat to prezes nucący w środku nocy przeróbkę „Roty" z tekstem o lewackiej UE, u boku Jacka Kurskiego?

To był ciekawy aranż, przyznaję. Ale czy nie jest prawdą, że Unia jest lewacka?

Na rok przed wyborami prawica jest rozproszona i skłócona. Tego się szybko nie sklei.

A ja myślę, że będzie dobrze. Niech pan spojrzy na chłodno: w Senacie prawica zdobędzie większość bez większych problemów, a w Sejmie uda się stworzyć prawicowy rząd. Paradoksalnie może się okazać, że łatwiej będzie wygrać niż rządzić, bo stan państwa, a zwłaszcza finansów, jest fatalny. Facet, który jest za to odpowiedzialny, ma być wicepremierem. Czuje pan groteskowość tej sytuacji? ©℗



FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Michał
Wójcik

poseł PiS, były wiceminister sprawiedliwości

Potwierdzanie normalności

Internetowe algorytmy mogą ułatwiać kontakt z treściami skrajnymi i pośredniczyć w znajdowaniu osób o podobnych poglądach, pomagając w tworzeniu społeczności

Z Marią
Moulin-Stożek

rozmawia Karolina Nowakowska

Co wyróżnia Polskę na tle innych krajów objętych projektem D.Rad (finansowany przez UE międzynarodowy projekt badawczy Deradicalisation in Europe and Beyond: Detect, Resolve, Re-integrate)?

Żyjemy w kraju relatywnie bezpiecznym. Ale nie oznacza to, że jesteśmy wolni od zagrożeń. Geopolityka – wojna w Ukrainie, sąsiedztwo Białorusi i Rosji – ma istotny wpływ na naszą rzeczywistość. Poza tym wyróżnia nas mocna polaryzacja polityczna oraz łączenie pamięci historycznej z silną tożsamością narodową. Ale nie należy utożsamiać radykalizacji z patriotyzmem, konserwatyzmem czy wszystkimi nurtami nacjonalistycznymi, gdyż dla radykalizacji charakterystyczne są odrzucenie zasad demokratycznych i akceptacja przemocy politycznej.

Które czynniki – nierówności społeczne, poczucie niesprawiedliwości czy zdominowany przez zero-jedynkowe emocje dyskurs publiczny – najczęściej przewijają się w wypowiedziach badanych?

Badania potwierdziły, że nierówności społeczne, bieda czy poziom wykształcenia wpływają na radykalizację – osoby mające gorszy dostęp do edukacji czy uboższe mogą być skłonniejsze do angażowania się w działania powiązane ze stosowaniem przemocy. Są jednak badania podważające takie podejście. Grupy ekstremistyczne często rekrutują osoby, które są dobrze wykształcone, z wyższych klas społecznych; dzieje się tak, bo takie osoby interesują się polityką czy ideologią. W tym ujęciu radykalizacja wynika więc nie tyle z biedy, lecz z poczucia frustracji związanej z sytuacją polityczną czy niesprawiedliwością społeczną.

W projekcie D.Rad wykorzystano także perspektywę obejmującą poczucie niesprawiedliwości, narastającą krzywdę, alienację oraz polaryzację.

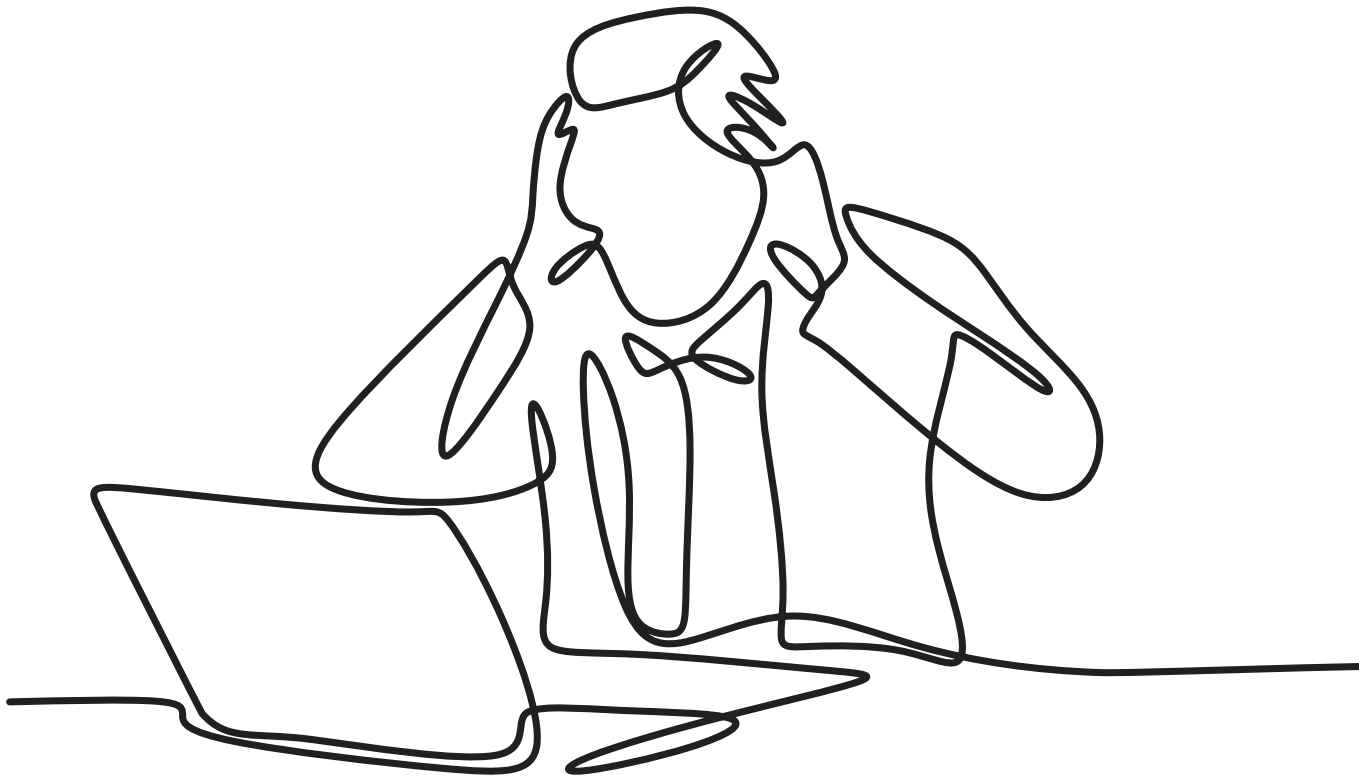
Jeżeli ktoś czuje się lekceważony, poniżany czy gorzej traktowany, to łatwiej może przyjąć narrację, w której przemoc polityczna jest uzasadniona. Poczucie zagubienia może kierować młode osoby w stronę radykalnych grup, które dają im poczucie, że gdzieś pasują. W projekcie D.Rad rozumiano radykalizację jako proces, który zaczyna się od poczucia wykluczenia połączonego z potrzebą przynależności i znalezienia własnej tożsamości. Jeżeli chodzi o politykę, to nie ma tu automatycznej zależności, ale może ona wystąpić wtedy, gdy rząd odbiera prawa jakimś grupom, np. imigrantom. Oczywiście nie można bezpośrednio wnioskować, iż jakaś decyzja władz automatycznie spowoduje radykalizację, gdyż jest to proces bardziej skomplikowany. Z drugiej strony rząd może ograniczać poczucie niesprawiedliwości poprzez stosowanie prawa w oparciu o zasadę równości, brak stronniczości czy transparentność instytucji.

Czy widać wpływ mediów społecznościowych i internetowych społeczności na proces radykalizacji i przemoc?

Sieć jest istotnym medium dla procesów radykalizacji. W niej grupy ekstremistyczne rekrutują osoby młode, a szczególnie te, które są wyizolowane społecznie bądź mają problemy ze zdrowiem psychicznym („Sieć nastoletnich killerów", DGP Magazyn na Weekend nr 187 z 25 września 2026 r.). W internecie jednostki nie szukają więc tylko informacji, lecz przede wszystkim środowiska społecznego, gdzie ich przekonania są normalizowane. Algorytmy mogą ułatwiać kontakt z treściami skrajnymi i pośredniczyć w znajdowaniu osób o podobnych poglądach, pomagając w tworzeniu społeczności. Nie ma jednak podstaw, by traktować platformy społecznościowe jako automatyczną przyczynę radykalizacji, gdyż osoba oglądająca treści o umiarkowanej wymowie może po prostu nie skierować uwagi ku treściom ekstremistycznym lub nawołującym do przemocy.

Wskazuje pani na brak zgody wśród naukowców i sędziów co do mowy nienawiści i właściwej reakcji na nią wymiaru sprawiedliwości. Gdzie przebiegają linie sporu? ▷

eprasa.pl 3965647923



Te spory dotyczą granicy między wolnością słowa a ochroną przed dyskryminacją, znieważaniem czy nawoływaniem do nienawiści. Chodzi mniej o to, czy wypowiedź jest obraźliwa, a bardziej o to, czy przekracza granice określone w prawie i jaki ma kontekst. W polskim prawie ważna jest różnica między szokującą czy obraźliwą wypowiedzią, która podlega ochronie, a zachowaniem wypełniającym znamiona czynu zabronionego. Szczególnego znaczenia nabiera to w sporach politycznych i religijnych, bo państwo nie może traktować samej niepopularności poglądu jako podstawy odpowiedzialności karnej. Istnieją orzeczenia o różnych akcentach interpretacyjnych; to przykłady na to, żeby sądy konsekwentnie stosowały precyzyjne kryteria, analizowały kontekst wypowiedzi, jej cel. Dla mnie jako prawniczki najważniejsze jest, żeby nie trzeba było wybierać między wolnością słowa a ochroną przed mową nienawiści. Powinniśmy budować takie standardy prawne, które pozwalają skutecznie chronić obie te wartości.

Czy obowiązujące przepisy karne są wystarczające? Czy może powinno się zmienić coś i w prawie, i w praktyce orzeczniczej?

Uważam, że powinno chodzić nie tyle o zwiększanie kar czy dalszą kryminalizację, ale bardziej o sposób stosowania przepisów oraz o skuteczną i szybką reakcję. Zmianom ustawowym winny też towarzyszyć jasne wytyczne dla prokuratury, sędziów i policji. Decyzje tych organów powinny być przewidywalne, proporcjonalne oraz podlegające kontroli. Istotne jest też ulepszanie sposobów gromadzenia danych o przestępstwach z nienawiści oraz wsparcie osób pokrzywdzonych.

Z raportu D.Rad wynika, że samo postępowanie karne lub nadzór służb miały dla części badanych efekt odstraszający. Czy to argument za szybszą i zdecydowaną reakcją państwa?

Prawo karne zazwyczaj nie wystarcza, by zapobiegać czynom zabronionym, w mojej opinii istotniejsza jest tu zdecydowana reakcja. Przestępstwa popełniane są często bez wcześniejszych kalkulacji, czy dane zachowanie się opłaca, nierzadko zachowania są podejmowane pod wpływem impulsu czy alkoholu.

Więc zaostrzanie kar nie będzie miało tak pożądanego bezpośredniego przełożenia na prewencję, jak...

Na przykład nadzór. Nie chodzi o to, by obejmować nadzorem jak największą liczbę osób, ale żeby te interwencje były proporcjonalne. Z czym innym mamy do czynienia, kiedy ktoś się interesuje ekstremizmem, wyszukując i pochwalając takie treści, a z czymś innym, kiedy ktoś planuje akty przemocy i stwarza zagrożenie – wtedy reakcja winna być zdecydowana. Jeśli natomiast interwencja służb byłaby nieproporcjonalna, mogłaby zostać odebrana jako prześladowanie za poglądy, co mogłoby wzmocnić radykalizację.

Dla jakich osób wystarczy sam kontakt z wymiarem sprawiedliwości, a dla jakich konieczna jest resocjalizacja?

Deradykalizacja wymaga oceny indywidualnej, która uwzględnia wiele aspektów, takich jak sytuacja życiowa i czynniki ryzyka. Im wcześniej uda się zaoferować pomoc i alternatywę dla środowiska ekstremistycznego, tym większa szansa, że nie będzie konieczna późniejsza interwencja karna. Przy czym deradykalizacja jest potrzebna jedynie tym osobom, które są silnie związane ze środowiskami ekstremistycznymi i powiązały swoją tożsamość z ideologią i fascynacją przemocą. Nie jest potrzebna, jeśli ideologia nie jest utrwalona, a dane zachowanie było incydentalne. Wtedy wystarczająca może być proporcjonalna reakcja prawna, wsparcie czy wskazanie na konsekwencje tego typu zachowania.

Czy w Polsce istnieją systemowe programy deradykalizacji lub wsparcia osób wychodzących z ekstremizmu?

Istnieją instytucje odpowiedzialne za inicjatywy dotyczące przeciwdziałania ekstremizmowi, szczególną rolę odgrywa tu ABW, która prowadzi programy na poziomie krajowym. Działania są też podejmowane na poziomie samorządowym. Inicjatywy są podejmowane także w trzecim sektorze, bezpośrednio czy pośrednio w kontekście dialogu międzykulturowego, tolerancji, kontroli agresji czy w środowiskach kibiców.

Jak ocenia pani rolę szkół, rodzin i instytucji lokalnych w wykrywaniu wczesnych sygnałów radykalizacji?

Badania przeprowadzone przez unijną sieć RAN (Radicalisation Awareness Network) wskazują, że silniejsze więzi społeczne zmniejszają prawdopodobieństwo przyjmowania ekstremistycznych poglądów. Szkoły, rodziny czy instytucje lokalne mają więc ogromne znaczenie, bo często właśnie jako pierwsze zauważają objawy radykalizacji, takie jak izolacja, konflikty z otoczeniem, fascynacja przemocą czy określone wypowiedzi mogące sugerować popadanie w ekstremizm. Jednocześnie szkoły winny być przygotowane do tej roli. Nauczyciele nie powinni oceniać samodzielnie, czy mamy do czynienia z radykalizacją, a uczeń nie powinien czuć się napiętnowany z tego powodu. Taka osoba winna czuć, że może w sposób bezpieczny porozmawiać z psychologiem czy innym specjalistą. Istotne jest więc budowanie odpowiednich relacji z młodymi osobami. Inwigilacja czy zbyt pochopne traktowanie kogoś jak osoby zradykalizowanej mogą przynieść odwrotny skutek. Zamiast pomóc, mogą jeszcze bardziej zepchnąć taką osobę w stronę grup ekstremistycznych, które mogą wykorzystać jej poczucie, że jest prześladowana.

Jakie rekomendacje z raportu są najpilniejsze dla polskich decydentów? I czy ktokolwiek z nich się nimi interesował?

Za najpilniejsze uznałabym przeprowadzenie ewaluacji efektów programów profilaktycznych i deradykalizacyjnych. To konieczne dlatego, że musimy wiedzieć, co pomaga, komu i w jakich warunkach. Jednorazowe kampanie społeczne czy projekty nie zawsze są wystarczające. Jeżeli chodzi o zainteresowanie decydentów, to projekt został zakończony stosunkowo niedawno, mam więc nadzieję, że wnioski z raportów przełożą się na konkretne zmiany.

Ostatnio sporo się zmieniło: wojna w Ukrainie, kryzys na granicy z Białorusią, kolejne cykle wyborcze. Które wnioski raportu są nadal aktualne, a które wymagałyby weryfikacji?

Do aktualnych wniosków należą te, które odnoszą się do polaryzacji politycznej i społecznej, poczucia niesprawiedliwości czy wykorzystywania lęku społecznego przez państwo. Oczywiście kontekst zmienił się radykalnie po zaatakowaniu Ukrainy przez Rosję. Ekstremiści z krajów europejskich biorą udział w tym konflikcie, walcząc po obu stronach. Te osoby wrócą w końcu do krajów swojego pochodzenia, mając za sobą doświadczenie bojowe i traumy psychiczne. Kolejnym problemem jest kwestia broni: część tego wojennego uzbrojenia trafi na czarny rynek. Przyjęcie uchodźców z Ukrainy, napięcia na granicy z Białorusią kompletnie zmieniły w Polsce debatę na temat bezpieczeństwa i to, w jaki sposób migracja jest przedstawiana obecnie w dyskursie publicznym. To wszystko sprawia, że wnioski wymagają aktualizacji.

Czy zauważa pani nowe trendy radykalizacji, których nie obejmowało to badanie?

Obserwujemy, że różne formy radykalizacji się nawzajem przenikają, czyli mamy np. przemoc motywowaną ideologią polityczną prawicową i lewicową, które mogą łączyć się z różnego rodzaju teoriami spiskowymi, dżihadyzmem czy mizoginią. Grupy te gloryfikują sprawców ataków motywowanych politycznie czy masowych strzelanin. Powszechniejsze jest też obecnie wykorzystywanie sztucznej inteligencji do tworzenia propagandy, szczególnie w środowiskach skrajnie prawicowych. Pozwala to na tworzenie treści czy deepfake'ów, które mogą zostać szybko udostępniane na różnych platformach i w różnych językach. Wzrasta także liczba śledztw w związku z zarzutem współpracy z obcymi służbami wywiadowczymi. Często dotyczy to osób bardzo młodych, które zostały nakłonione do dokonania czynów zabronionych, a zapłata za tego typu działania często odbywa się w kryptowalutach. Zjawiskiem, z którym

eprasa.pl 3965647923

FOT. BERKAHLINEART/SHUTTERSTOCK

mamy do czynienia współcześnie, jest też nagrywanie ataków, rozpowszechnianie i komentowanie. Sprawcy oczekują rozgłosu, uznania społeczności internetowej. Wydarzenia z października 2026 r. obejmujące kilka ataków w polskich szkołach pokazują, jak pilne jest badanie mechanizmów gloryfikacji sprawcy.

Czy sprawców ataków nożowników w szkołach można analizować w tych samych kategoriach, co badanych w raporcie D.Rad?

Gdzie przebiega granica między radykalizacją ideologiczną a przemocą bez wyraźnej ideologii?

Narzędzia stosowane do analizy mogą być takie same, natomiast nie można z góry zakładać, że badamy to samo zjawisko. Podobnie jak w przypadku przemocy motywowanej politycznie, możemy mieć do czynienia z poczuciem krzywdy, wpływem internetu czy społeczności internetowych. Radykalizacja polityczna różni się od radykalizacji bez konkretnej ideologii tym, że przekonania polityczne legitymizują przemoc, natomiast w tym drugim przypadku motywem mogą być różne rzeczy, np. potrzeba rozgłosu, pragnienie odwetu czy istnienie konfliktu międzyludzkiego. Brak motywacji ideologicznej nie oznacza jednak, że ta przemoc jest mniej poważna, szczególnie że tutaj również istnieje możliwość naśladownictwa.

Dwóch sprawców ma pochodzić z przemocowych domów. Czy to ma znaczenie?

Jeżeli te informacje zostaną potwierdzone, będzie to z pewnością istotny czynnik, jeśli chodzi o analizę sprawy. Oczywiście nie oznacza to, że dzieci, które pochodzą z trudnych domów, zostają sprawcami przemocy. Zdecydowana większość takich osób nie dokonuje podobnych aktów. Wręcz przeciwnie, nawet bez wsparcia wyrastają często na osoby wrażliwe na krzywdę innych. Z punktu widzenia prewencji natomiast istotne jest, aby przemoc wobec dzieci była szybko rozpoznana, a zgłoszenia traktowane poważnie. Takim osobom powinno zostać zapewnione odpowiednie wsparcie ze strony szkoły czy innych instytucji. Nie można oczekiwać, że młode osoby będą w stanie radzić sobie samodzielnie z podobnymi sytuacjami.

Czy w znanych badaniach widać mechanizm, w którym jeden głośny atak zwiększa ryzyko kolejnych?

Faktycznie jest tak, że jeżeli dochodzi do masakry np. w szkole, to mogą nastąpić kolejne ataki. Ten mechanizm naśladownictwa może obejmować np. chęć zwrócenia na siebie uwagi czy fascynację sprawcą przemocy. Nie oznacza to oczywiście, że nie należy informować o przemocy. Informacje o kontekście zdarzenia mogą pomóc w zapobieganiu kolejnym atakom.

Jak ocenia pani rolę algorytmów i moderacji treści? Czy odpowiedzialność leży po stronie platform, państwa, szkół czy rodziców?

Odpowiedzialność powinna być podzielona. Nie można przerzucać jej w całości na rodziców, gdyż nie kontrolują oni tego, w jaki sposób działają platformy. Platformy powinny odpowiadać za przejrzystość systemów rekomendacji i reagować na treści, które zachęcają do przemocy czy gloryfikują przemoc. Po stronie państwa z kolei istnieje obowiązek stworzenia odpowiednich zasad tworzenia przepisów prawnych, a także mechanizmów, które będą pozwalały kontrolować, czy prawo jest odpowiednio wdrażane. Tego typu prawo powinno chronić wolność wypowiedzi i powinna istnieć możliwość odwołania się od błędnych decyzji moderacji, które ją naruszają. Szkoła z kolei i rodzice powinni interesować się tym, co dziecko ogląda w sieci, i informować o zagrożeniach.

Czy wzorce męskości, upokorzenie i potrzeba odzyskania statusu mają znaczenie także w przypadku młodych sprawców przemocy szkolnej?

Zdecydowanie mogą mieć znaczenie. W niektórych środowiskach męskość postrzegana jest jako kontrola i dominacja, a przemoc może być promowana jako metoda odzyskania kontroli. Inne osoby, szczególnie kobiety, mogą być przedstawiane w sposób wrogi. Nie chodzi tutaj o demonizowanie męskości, ale raczej o tworzenie takich wzorów męskości, które opierają się na szacunku dla innych i rozwiązywaniu problemów bez użycia przemocy czy upokarzania innych osób. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Maria
Moulin-Stożek
doktor nauk prawnych, Wydział Prawa i Ekonomii Uniwersytetu Jana Długosza w Częstochowie, absolwentka LL.M. na Uniwersytecie Harvarda



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Mit bezstresowego wychowania

Marcin **Kędzierski**

Ataki nożowników w szkołach i awantura o interwencję rzeczniczki praw dziecka po raz kolejny wywołały dyskusję o wychowaniu. Pojawiło się wiele głosów krytykujących rzekomo dominujące trendy pedagogiczne, które mają przynajmniej częściowo tłumaczyć te historie.

Każdy z nas ma zdanie na temat wychowywania dzieci – czy to za sprawą własnych doświadczeń rodzicielskich, czy wspomnień z dzieciństwa. Każdy, nawet nie będąc rodzicem i nie posiadając kompetencji pedagogicznych, uważa, że się na tym zna. Nie powinien zatem zaskakiwać wysyp internetowych „ekspertyz", doszukujących się przyczyn niewłaściwego zachowania dzieci w koncepcji „pokolenia płatków śniegu", które miało nigdy nie zaznać silnej ręki ojca.

W reakcji na ataki w szkołach politycy podkręcali społeczne wzburzenie, a jednocześnie niemal od razu zaczęli wzajemnie obarczać się odpowiedzialnością. Przedstawiciele koalicji rządzącej zrzucali winę na prezydenta Karola Nawrockiego, bo zawetował ustawę wprowadzającą do polskiego porządku prawnego przepisy unijnego aktu o usługach cyfrowych. Z kolei opozycja argumentowała, że takie rzeczy musiały się prędzej czy później wydarzyć „w szkole Tuska i Nowackiej". Świat polityki umiejętnie wpisał się w oczekiwania ludzi, którzy szukają prostych i szybkich wyjaśnień, redukujących dysonans poznawczy. Przede wszystkim jednak lud szuka winnych – ludzi lub ideologii – a ich wskazanie jest traktowane na równi z rozwiązaniem problemu.

Kłopot w tym, że przyczyn aktów przemocy i niedoszłych zamachów było prawdopodobnie wiele, a każdy pojedynczy przypadek zasługiwałby na odrębną analizę, która zapewne zawierałaby nudne wnioski. Wystarczy powiedzieć, że z tego, co już wiadomo, niektórzy sprawcy sami byli ofiarami przemocy domowej. Misterna narracja o nastolatkach, które zawczasu nie dostały porządnie pasem, niespecjalnie trzyma się kupy.

Kapitalizm rozsadza rodziny

Te dwie historie stanowią doskonałą okazję, aby zmierzyć się z dwoma mitami. Zacznijmy od tego bardziej rozpowszechnionego: bezstresowego wychowania. Najpierw warto jednak zadać sobie pytanie, czym ono właściwie jest. Źródeł tego podejścia wychowawczego możemy szukać w powojennych Stanach Zjednoczonych. Do jego głównych założeń należało odrzucenie kar cielesnych, podmiotowe traktowanie dziecka, partnerskie relacje, dialog i okazywanie empatii. Wbrew potocznemu wyobrażeniu nurt ten nie oznaczał braku granic. Do Europy trafił on w latach 70. i 80. XX w., a do Polski – po transformacji ustrojowej. Nad Wisłą niemal od razu podejście to zyskało złą sławę. „Liberalny model wychowawczy", który z czasem doczekał się kolejnych odsłon, takich jak rodzicielstwo bez przemocy czy nurt pozytywnej dyscypliny, wykoślawiono i ochrzczono mianem „bezstresowego wychowania". W gruncie rzeczy nie miało ono wiele wspólnego z wychowaniem – w praktyce oznaczało pajdokrację i anarchię.

Sęk w tym, że w tamtym okresie próżno szukać tego modelu w polskich rodzinach. Nie było przecież tak, że w latach 90. XX w. rodzice radykalnie zmienili podejście do dzieci albo pojawiły się nowe problemy wychowawcze na ogrom-

eprasa.pl 3965647923

ną skalę. Oczywiście opowieść „kiedyś to było" zawsze doskonale się sprzedaje – na młode pokolenia narzekali już Sumerowie, ale zwykle nie ma to związku ze światem realnym. Wraz z zakończeniem obrad Okrągłego Stołu dzieci nie stały się nagle wyjątkowo niegrzeczne.

Warto jednak zauważyć, że doświadczenia transformacji pociągnęły za sobą wiele zmian w funkcjonowaniu polskiego społeczeństwa. Z jednej strony część gospodarstw domowych dotknęło bezrobocie i utrata źródeł i tak niewielkich dochodów, z drugiej strony otworzyły się nowe możliwości zawodowe, choćby wynikające z migracji zarobkowej. Polacy weszli na ścieżkę kapitalistycznego rozwoju i zaczęli pościg za aspiracjami i życiem jak na mitycznym Zachodzie. Wiązało się to z osłabieniem więzi rodzinnych i możliwości kontroli procesu wychowawczego. Rodzice stawali się coraz bardziej nieobecni – nie dlatego, że świadomie wybrali model bezstresowego wychowania, lecz dlatego, że łapali każdą fuchę, by zapewnić potomstwu lepszy byt. Zjawisko to dobrze ilustrują „eurosieroty" – dzieci osób, które wyemigrowały za pracą po otwarciu granic Unii Europejskiej, a swoje pociechy zostawiły pod opieką dziadków lub innych członków rodziny. Skutkowało to problemami wychowawczymi, które tłumaczono pobłażliwością. Nie dostrzegano, że był to jeden z efektów rodzącego się w Polsce neoliberalnego kapitalizmu.

Dlaczego o tym przypominam? W gruncie rzeczy obecna sytuacja niespecjalnie się różni od tej sprzed 20–30 lat. Jesteśmy dziś znacznie zamożniejsi i wielu z nas stać na to, by zapewnić dzieciom wszystko, czego potrzebują (zwłaszcza że mamy ich o połowę mniej niż wtedy). Ponadto dostajemy ogromne wsparcie ze strony państwa w postaci 800+ i nie musimy już wyjeżdżać za granicę za dobrze płatną pracą. Jedno się nie zmieniło – nadal działamy w trybie aspiracyjno-pościgowym i pracujemy zdecydowanie więcej niż przeciętny mieszkaniec UE. Nawet kiedy wracamy do domu (także mentalnie), wielu z nas jest tak zmęczonych, że woli się zresetować oglądaniem internetowych rolek, niż aktywnie spędzić czas z dzieckiem. Zapisujemy je na dodatkowe zajęcia, zagłuszając w ten sposób ewentualne wyrzuty sumienia – przecież inwestujemy w rozwój naszych pociech. Problem w tym, że mogą one czuć się tak samo porzucone jak dawne „eurosieroty", nawet jeśli rodzice wydają ogromne pieniądze na terapię.

Gdzie ci milenialsi

Podstawowym mechanizmem wychowania jest naśladowanie. Dzieci od najmłodszych lat obserwują dorosłych i zachowują się tak, jak oni. Jeśli wraz z bogaceniem się jesteśmy coraz bardziej przemęczeni, nerwowi, agresywni, roszczeniowi, pretensjonalni, egoistyczni i pogardliwi wobec innych ludzi, to takie stają się też nasze dzieci. Tendencje są dodatkowo wzmacniane przez algorytmy mediów społecznościowych. Nie ma to nic wspólnego z wyborem bezstresowego wychowania. Niemniej jest to wygodniejszy chłopiec do bicia niż system społeczno-gospodarczy, który wpycha nas w spiralę oczekiwań i aspiracji.

Kiedy czytam kolejne tyrady przeciw bezstresowemu wychowaniu, odczuwam rosnącą bezradność. Podobne emocje wywołuje u mnie drugi mit ostatnich lat. Mam na myśli tezy amerykańskiego psychologa Jonathana Haidta o „pokoleniu lęku", drwiąco określanym często „ pokoleniem płatków śniegu". Mowa o młodych ludziach, którzy z powodu nadopiekuńczości rodziców i uzależnienia od mediów społecznościowych cechują się kruchością psychiczną. Założenie jest takie, że wychowanie w izolacji od jakichkolwiek stresogennych czynników w powiązaniu z zanurzeniem w świat cyfrowy kształtuje osoby niezdolne do mierzenia się z wyzwaniami dorosłego życia.

Możliwe, że obserwacje Haidta pasują do amerykańskiego społeczeństwa. Nie wykluczam, że tamtejsi milenialsi, czyli osoby urodzone w latach 1981–1996 – czasach prosperity i turbokonsumpcji – wychowały swoje dzieci na „płatki śniegu". Problem w tym, że w Polsce nie ma milenialsów. Rodzice współczesnych nastolatków reprezentują pokolenie wyżu demograficznego przełomu lat 70. i 80. XX w. To ludzie, którzy dojrzewali w rzeczywistości niedoboru, kryzysu i nieustannej konkurencji o zasoby, w tym bezpłatne miejsca na uczelniach. Dzisiaj pielęgnują „kulturę zapierdolu". Nie ma chyba w Polsce generacji, która w sposobie myślenia byłaby bardziej ukształtowana przez neoliberalny indywidualizm i wszechobecny „efektywizm". Trudno sobie wyobrazić, by osoby z takim mentalnym nastawieniem były w stanie wychowywać dzieci zgodnie z inną wizją świata. Widzę to wyraźnie wśród studentów urodzonych już w XXI w., potwierdzają to także badania PISA. Polscy nastolatkowie funkcjonują pod presją rywalizacji i uczą się więcej niż ich rówieśnicy z innych państw – nie tylko w szkole, w której spędzają relatywnie najwięcej czasu, lecz także na korepetycjach, na które uczęszcza już ponad połowa uczniów w naszym kraju. Dlatego twierdzenie, że polska młodzież to „płatki śniegu", jest równie absurdalne co zarzucanie rodzicom bezstresowego wychowania.

Rodzicielstwo totalne

Skoro już mowa o różnicach między USA a Polską, warto przedstawić choćby uproszczoną typologię modeli wychowawczych, żeby lepiej zrozumieć, na czym dokładnie one polegają. Dla ich oceny znaczenie mają trzy podstawowe kryteria. Pierwszym jest kontrola rodzicielska, a tym samym zakres autonomii dziecka. W praktyce kryterium to odpowiada na pytanie, na ile dziecko decyduje o tym, czego i jak się uczy, jak spędza wolny czas, co je i jak się ubiera (zwłaszcza na późniejszych etapach). Innymi słowy, na ile jest samodzielne w codziennym funkcjonowaniu i zarządzaniu swoim czasem. W ramach tego kryterium warto przyjrzeć się też normom społecznym oddziałującym na dziecko. Czy rodzice wymuszają bezwzględne przestrzeganie tych norm, również przy użyciu różnych form przemocy, czy istnieje pewna przestrzeń swobody?

Drugie kryterium obejmuje wsparcie emocjonalne – czy rodzic podchodzi do dziecka z empatią, stara się rozumieć jego stany emocjonalne i na tej podstawie dostosowuje swoje zachowanie w konkretnym przypadku, czy raczej nie uwzględnia tej perspektywy w procesie wychowawczym, lecz stosuje odgórnie przyjęte reguły w sposób wystandaryzowany. Idąc dalej: na ile towarzyszy dziecku w sytuacjach kryzysowych, a na ile oczekuje, że samodzielnie sobie ono z nimi poradzi.

Trzecie kryterium obejmuje podejście do wyników procesu wychowawczego, a także procesu dydaktycznego: na ile rodzic wywiera presję na oceny lub rezultaty egzaminów oraz ile inwestuje w rozwój dziecka, rozumiany jako torowanie mu drogi do kariery zawodowej. W tym kryterium mieści się też podejście do błędów i porażek – na ile są one zwyczajnym elementem wychowania i nauki, a na ile przeszkodą w osiąganiu satysfakcjonujących wyników.

Choć wszystkie te kryteria wzajemnie się przenikają i mają charakter umowny, pozwalają wyróżnić różne typy modeli wychowawczych. Jeśli spojrzymy na polską klasę średnią, wydaje się, że dominuje w niej model „rodzicielstwa totalnego" – z silną kontrolą i małą autonomią dziecka, dużym wsparciem emocjonalnym (a przynajmniej nastawieniem na takie wsparcie, bo ze względu na brak czasu różnie ono wygląda) oraz presją na wyniki. Taki model nie kojarzy się z „bezstresowym wychowaniem" i „płatkami śniegu". Dzieci polskiej klasy średniej dorastają pod silną kontrolą i presją, co w zestawieniu z nadmiernym korzystaniem z mediów społecznościowych skutkuje rosnącymi kłopotami ze zdrowiem psychicznym. Wobec zapaści publicznego systemu opieki psychologicznej i psychiatrycznej zaangażowani rodzice są gotowi wydawać duże pieniądze na usługi prywatnych terapeutów, co potwierdza, jak ważne jest dla nich wsparcie emocjonalne.

„Rodzicielstwo totalne" ma swoje konsekwencje. Jak pokazują badania międzynarodowe, polskie matki i ojcowie należą do światowej czołówki pod względem wypalenia rodzicielskiego. Przedstawiciele pokolenia wyżu demograficznego lat 80. XX w. konkurują nie tylko na rynku pracy, lecz także z innymi rodzicami o to, kto zasługuje na miano superrodzica. Wiele się mówi o presji wywieranej na dzieci, ale nie zapominajmy, że w takim samym stopniu, jeśli nie w większym, odczuwają ją dzisiejsi czterdziestolatkowie. Nie powinno więc zaskakiwać, że w wolnych chwilach bezmyślnie zatapiają się w internetowych rolkach – to nic innego jak próba ucieczki w świat, który niczego od nich nie wymaga. Być może warto by przeprowadzić badania wśród ojców i matek czekających w samochodach, by odebrać dzieci z zajęć pozalekcyjnych. Założę się, że dla wielu z nich auto jest również przestrzenią błogiego odpoczynku.

Przemoc ponadklasowa

Na drugim biegunie mamy „rodzicielstwo nieobecne". W tym modelu dzieci są puszczone nieomal samopas, a rodzice nie wykazują nimi większego zainteresowania. Rodzinne interakcje ograniczają się do okazjonalnej przemocy, a proces wychowawczy nie istnieje. Dzieci współzamieszkują z rodzicami, ale w praktyce stanowią raczej przeszkodę. Nie wyrokując w sprawie rodziny z Białołęki, którą miesiąc temu żyło pół Polski, rzucone w emocjach do dziecka hasło „kur.., zmarnowałeś mi życie" dobrze obrazuje taki model rodzicielstwa. Jeśli wierzyć doniesieniom medialnym, nastolatki, które dopuściły się ataków w szkołach, również wywodziły się z takich środowisk rodzinnych. Zamiast utyskiwać na pobłażliwych rodziców, należy tu raczej mówić o potrzebie wsparcia ze strony instytucji państwowych, bo część z nich nie powinna pełnić funkcji opiekuńczych. Problem polega na tym, że ci sami, którzy krzyczą teraz o bezstresowym wychowaniu, miesiąc temu wyzywali rzeczniczkę praw dziecka od wiedźm i potępiali w czambuł odebranie dzieci rodzinie z Białołęki. Nawet jeśli ostatecznie była to błędna decyzja, z pewnością nie bezpodstawna, co wykazał niedawny materiał Michała Janczury w Wirtualnej Polsce.

Chciałbym wyraźnie podkreślić, że przemoc wobec dzieci nie ma wymiaru klasowego. Patologie zdarzają się zarówno w biednych, jak i zamożnych domach, choć w tych pierwszych łatwiej je dostrzegać. Co więcej, agresywne zachowania nie występują jedynie w modelu „rodzicielstwa nieobecnego" – „rodzicielstwo totalne" równie dobrze może się przekształcić w systemową przemoc. Między tymi skrajnymi modelami istnieje całe spektrum podejść wychowawczych. W końcu Polska to nie tylko zachłyśnięta Haidtem wielkomiejska klasa średnia i wyższa.

Widać coraz wyraźniej, że powoli zanika tradycyjny model cechujący się umiarkowaną kontrolą (symbolizowaną przez rytualne pytanie „a co tam było w szkole?"), niezbyt silnym wsparciem emocjonalnym („nie histeryzuj") i orientacją na wynik („ucz się, bo będziesz kopać rowy/zostaniesz sprzątaczką"). Zmiany można zauważyć w systemie oświaty, który w praktyce jest emanacją modeli rodzicielstwa. Zjawisko coraz większej kontroli rodziców nad dziećmi występuje również poza największymi miastami – potwierdzają to nauczyciele mierzący się z „agresywnymi" opiekunami.

Jedno pozostaje niezmienne: niezależnie od stosunku do kontroli czy wsparcia emocjonalnego, standardem wychowawczym w polskich rodzinach była, jest i prawdopodobnie będzie presja na wyniki. Jeśli ktokolwiek ma nadzieję, że reforma edukacji pozwoli zerwać z tym podejściem, jest w dużym błędzie. Polskie dzieci nadal będą dorastać w stresie i pod ciężarem wygórowanych oczekiwań. Warto o tym wszystkim rozmawiać, trzeba tylko wyrzucić do kosza mity o bezstresowym wychowaniu i „płatkach śniegu". Na nic się nam nie przydadzą. ©℗

Autor jest publicystą, doktorem nauk ekonomicznych, adiunktem w Katedrze Stosunków Międzynarodowych UEK i członkiem Polskiej Sieci Ekonomii

eprasa.pl 3965647923

Kultura

Prucie gobelinów

Wystarczyłyby czyjaś pomyłka, inna decyzja, spadająca gałąź, gorsza pogoda, błędna mutacja – i już. Nie ma cię

Piotr

Kofta

Pytanie o prawdopodobieństwo własnego zaistnienia może człowiekowi zawrócić w głowie. Jeśli spojrzeć wstecz, wszystko niby wydaje się oczywiste – ciąg przypadków zamienił się w nierozerwalny łańcuch konieczności. Ponieważ lubimy (czy może – nasz mózg lubi) myśleć o świecie teleologicznie, pojawia się pokusa, by traktować fakt osobistego pojawienia się wśród żywych w odpowiednim miejscu i czasie jako część pewnego planu. Czy chodzi o fatalny los, którego nie da się uniknąć, czy o boski plan zbawienia – to już kwestia szczegółowa.

Ale można to także zinterpretować odwrotnie: że przy całej gatunkowej typowości wielomiliardowej rzeszy ludzi każde pojedyncze istnienie jest skrajnie nieprawdopodobne i stanowi absurdalną wypadkową niesłychanych zbiegów okoliczności. Wystarczyłoby drobne przesunięcie w tej sekwencji – czyjaś pomyłka, inna decyzja, spadająca gałąź, gorsza pogoda, błędna mutacja – i już. Nie ma cię.

Wojna i mamuty z biegunką

Doprowadzeniem tego rodzaju wnioskowania do absurdu bawił się Stanisław Lem w „Próżni doskonałej", recenzując nieistniejącą książkę Cezara Kouski „De impossibilitate vitae. De impossibilitate prognoscendi" (2 tomy – Praha, Státní Nakladatelství N. Lit.), w której to profesor Kouska stara się udowodnić, że „zachodzi taki oto stosunek wykluczania się: albo z gruntu fałszywa jest teoria prawdopodobieństwa, na jakiej stoi przyrodoznawstwo, albo nie istnieje świat ożywiony z człowiekiem na czele". Kouska przeprowadza paradoksalny eksperyment myślowy – bada warunki, jakie w sposób konieczny musiały sprzyjać jego własnym narodzinom, chcąc udowodnić, że było to zdarzenie w zasadzie niemożliwe (albo że nasze rozumienie prawdopodobieństwa jest mylne).

Zaczyna się to tak: „Pewien lekarz wojskowy podczas I wojny światowej wyrzucił za drzwi sali operacyjnej pielęgniarkę, bo dokonywał zabiegu chirurgicznego w chwili, gdy ona weszła omyłkowo do tej właśnie sali. Gdyby pielęgniarka była bardziej obyta ze szpitalem, toby nie pomyliła drzwi sali operacyjnej z opatrunkową, a gdyby nie weszła do operacyjnej, toby jej chirurg nie wyrzucił; gdyby jej nie wyrzucił, to przełożony jego, lekarz pułkowy, nie zwróciłby mu uwagi na niewłaściwe zachowanie względem damy (bo to była pielęgniarka amatorka, panna z wyższej sfery), a gdyby nie zwrócił uwagi, toby młody chirurg nie uważał za wskazane przepraszać pielęgniarki, nie poszedłby z nią do cukierni, nie zakochałby się w niej, nie ożenił, przez co i profesor Kouska nie przyszedłby na świat jako dziecko tej właśnie małżeńskiej pary". Potem stopniowo cofamy się w czasie przez rozmaite przygody antropoidalnych przodków profesora Kouski, mamuty z biegunką, ruchy górotworów i tworzenie się planet w Układzie Słonecznym.

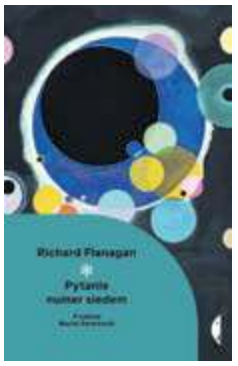
Przywołałem Lema, bo wydaje mi się, że po nim – i jego rozbudowanym, erudycyjnym metadowcipie o profesorze Kousce – trudno na poważnie rozważać kwestię przypadków prowadzących do naszego wrzucenia w byt. Richard Flanagan najwyraźniej nie czytał jednak „Próżni doskonałej", bo podchodzi do sprawy całkiem serio.

Ciągnięcie owej nitki

Flanagan, gwiazda australijskiej literatury, laureat Nagrody Bookera (2014) za powieść „Ścieżki Północy", pracuje jako prozaik na współcześnie dość zatartej granicy oddzielającej fikcję od prawdy historycznej i autobiograficznej. Moje dotychczasowe doświadczenia z Flanaganem wskazują na to, że im bliżej trzyma się faktów, tym jego pisarstwo jest ciekawsze. Słusznie wyróżnione „Ścieżki Północy" bazują na dziejach życia ojca autora, w czasie II wojny światowej więźnia japońskich obozów jenieckich. „Księga ryb Williama Goulda" podszywa się – w formie interesującej mistyfikacji

Richard Flanagan

„Pytanie numer siedem", przeł. Maciej Świerkocki, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2026



– pod dziennik autentycznego skazańca, który trafił w latach 20. XIX w. do kolonii karnej na Ziemi Van Diemena (jak wówczas nazywano rodzinną wyspę Flanagana Tasmanię). Na przeciwnym biegunie lokuje się „Klaśnięcie jednej ręki", kiczowaty i łzawy gniot – tu Flanagan odszedł dość daleko od tego, na czym się zna, i nie wyszło mu to na dobre.

„Pytanie numer siedem" stoi raczej po stronie faktów, będąc ekscentrycznym skrzyżowaniem osobistych i rodzinnych wspomnień, eseju historycznego i pewnej próby, nazwijmy to, dociekań etycznych. Punkt wyjścia książki Flanagan zarysowuje następująco: „Czasami się zastanawiam, dlaczego ciągle wracamy do początków – dlaczego poszukujemy tej pojedynczej nitki, za którą można pociągnąć, aby spruć gobelin, który nazywamy życiem, pełni nadziei, że znajdziemy ukrytą za nim prawdę, odpowiadającą na pytanie «dlaczego». Ale prawdy nie ma. Jest tylko «dlaczego». I jeżeli bliżej mu się przyjrzymy, zobaczymy, że za nim znajduje się po prostu kolejny gobelin. A za nim następny i jeszcze jeden, i jeszcze, aż dochodzimy w końcu do zapomnienia".

Innymi słowy, zdaje się mówić Flanagan, ciągnięcie owej nitki (czyli snucie opowieści, pisanie literatury) niczego nie wyjaśnia, bo nie może wyjaśnić, ale jest działalnością przeciwstawiającą się entropii. Obserwacja nitki – mitologicznej nici życia, tej samej, którą przędły i przecinały Mojry – przynosi zaś niekiedy ciekawe obserwacje. Samo „dlaczego" z reguły wystarcza.

6 sierpnia 1945 r. amerykański bombowiec zrzucił bombę atomową na Hiroszimę. „Tymczasem w odległości 80 mil na południe mój ojciec, prawie całkiem nagi przymusowy robotnik, już czwarty rok w niewoli jako jeniec wojenny, kontynuował swoją morderczą pracę, czyli pchał wagoniki wypełnione kamieniami przez długie ciemne tunele pod dnem Morza Wewnętrznego" – pisze Flanagan. W Hiroszimie dziesiątki tysięcy ludzi zmieniły się w ułamku sekundy w popiół i parę wodną, niedługo później to samo spotkało mieszkańców Nagasaki, niemniej ich ofiara spowodowała, że Japonia podpisała kapitulację i, między innymi, uwolniła więźniów.

W tym ojca pisarza. W przypadku amerykańskiej inwazji lądowej plany Japończyków były klarowne: bronić się do ostatniego żołnierza czy może: do ostatniego człowieka. A jeńców, w tym ojca pisarza, niezwłocznie zabić.

Ojciec przeżył, wrócił na Tasmanię, ożenił się, miał sześcioro dzieci. W większej skali coś podobnego przydarzyło się przecież Polsce: nasza radość z odzyskania niepodległości w 1918 r. była radością na dymiących zgliszczach dawnej Europy, po największej i najbardziej krwawej z dotychczasowych wojen, która bez sensu przemieliła miliony ludzkich istnień.

Banalna konstatacja

W książce Flanagana narracja ulega następnie rozdwojeniu. Z jednej strony autor bada wcześniejsze momenty na osi czasu, które doprowadziły do tej sytuacji, czyli: pozwoliły ojcu autora żyć kosztem zabitych w nuklearnym bombardowaniu. Z drugiej zaś, mówiąc w dużym przybliżeniu, rozważa, czy ta ofiara nie została zmarnowana.

W tym pierwszym wątku momenty wybrane są dość arbitralnie: towarzyszymy więc pisarzowi wizjonerowi H.G. Wellsowi w jego skomplikowanym romansie z młodziutką Rebeccą West. „Ich pocałunek miał z czasem zrodzić śmierć, która z kolei miała zrodzić mnie" – zauważa Flanagan, a chodzi mu o powieść „Świat wyzwolony", która powstawała właśnie w okresie tego ognistego romansu, a która zawiera pierwszą taką wyraźną wizję bomby atomowej, konsekwencji jej zastosowania i konieczności racjonalnego rozwiązania owych problemów.

Powieść Wellsa przeczytał węgiersko-żydowski fizyk Leó Szilárd – zainspirowała go ona pośrednio do obmyślenia koncepcji reakcji łańcuchowej, do pracy nad bombą (Szilárd, całkiem słusznie, miał obawy, że hitlerowskie Niemcy będą miały bombę wcześniej niż alianci), wreszcie, poniewczasie, do zaangażowania w ruch antyatomowy.

Jest to zrobione w „Pytaniu numer siedem" zgrabnie, ale uwaga zarówno pisarza, jak i czytelnika wkrótce przenosi się do wątku drugiego: „Pytanie numer siedem" staje się epitafium dla rodziców Flanagana, dla niewzruszoności ich życiowych zasad, dla starodawnej szlachetności prostych ludzi, dla których piekło wojny było tylko fragmentem większej historii o niewolnictwie i opresji: ostatecznie irlandzcy przodkowie Flanaganów zostali przez imperium brytyjskie zesłani na Tasmanię jako – de facto – niewolnicy, a następnie użyto ich, niczym narzędzi, do eksterminacji rdzennych mieszkańców.

Problem z „Pytaniem numer siedem" (celowo nie zdradzam pochodzenia tytułu) jest jednak zasadniczy: każdy ze wspomnianych wątków jakoś samodzielnie się broni, ale mają podejrzanie mało punktów wspólnych. Pisarz nie potrafi wyjaśnić, dlaczego skleił ze sobą te opowieści (niemal wszystkie wątki autobiograficzne występowały już w innych wersjach we wcześniejszych jego książkach) i wyposażył je w potężną kodę w postaci wspomnienia o własnym wypadku, który niemal zakończył się śmiercią. Banalna konstatacja, jaką możemy wyczytać z książki – że entropii i zapomnieniu można się przeciwstawić za pomocą miłości – niczego tu nie wnosi. Innymi słowy, lektura „Pytania numer siedem" nie jest przykra, ale też ostatecznie rozczarowuje niekonkluzywną, sentymentalną miałkością refleksji. ©℗

eprasa.pl 3965647923

Idee

Poza państwem i rynkiem

Ekonomia jest czymś znacznie szerszym niż wprowadzanie pieniędzy do różnych sfer życia. Dotyczy w gruncie rzeczy wszelkiego zachowania w warunkach niedoboru

Z Erikiem

Angnerem

rozmawia Sebastian Stodolak

Ekonomię nazywa się często ponurą nauką (dismal science), a tytuł pańskiej książki obiecuje, że ekonomia może uratować świat. To jak to w końcu jest?

A wie pan, skąd się wzięło to określenie? Thomas Carlyle spierał się z Johnem Stuartem Millem, atakując ekonomistów za to, że ośmielili się bronić praw zniewolonych ludzi. Słowo „dismal" niosło skojarzenia z diabłem, zaświatami, „czarnym lądem". Było to na wskroś rasistowskie powiązanie ekonomii z niewolnikami z Indii Zachodnich, których zdaniem Carlyle'a Brytyjczycy trzymali w niewoli całkiem słusznie. Mill i jego koledzy bronili ich praw, a Carlyle, historyk i humanista, nienawidził ich za twierdzenie, że ludzie mają prawa.

To określenie ekonomii oderwało się od historii swojego powstania...

I ekonomia rzeczywiście ma złą opinię. Krytykuje się ją z najróżniejszych powodów. Tyle że istnieje przepaść między tym, co o ekonomii mówią krytycy, a tym, czym naprawdę zajmują się ludzie ją uprawiający. Ja sam zacząłem od krytyki ekonomii. Znałem ją z gazet i z telewizji, gdzie widywałem wyjątkowo aroganckich ekonomistów. Chciałem się więcej dowiedzieć na jej temat, żeby krytykować ją skuteczniej. Im dłużej jednak ją studiowałem, tym wyraźniej widziałem, że wielu ekonomistów naprawdę chce czynić dobro. Kieruje nimi pragnienie zbudowania świata, w którym ludziom lepiej się żyje. Potwierdza to historia dyscypliny. Sięga ona klasycznych utylitarystów, którzy opowiadali się za prawami jednostki, emancypacją i wolnością, czyli za klasycznie liberalną wizją dobrego społeczeństwa. Jeśli porozmawia się z praktykującymi ekonomistami, a nie z tymi, którzy pojawiają się w telewizji, okaże się, że wielu z nich szczerze chce rozwiązywać wielkie problemy naszych czasów.

Które zarzuty wobec ekonomii uważa pan za trafne?

Po pierwsze, brakuje jej różnorodności. Jest zdominowana przez mężczyzn i przez ekonomistów z jednej części świata. Laureaci Nagrody Nobla wywodzą się zwykle z tych samych trzech uczelni. Po drugie, jest wyjątkowo zamknięta w sobie. Szkoda, bo mogłaby wiele zyskać, czerpiąc z dorobku innych nauk.

Jakich?

Na przykład kryminologii. Jeśli interesują nas przestępczość i kara z perspektywy ekonomicznej, a coraz częściej tak bywa, to przecież istnieje cała dyscyplina, która się tym zajmuje i może wnieść tu istotny wkład. W przypadku psychologii coś się już ruszyło. Ekonomia behawioralna jest w dużej mierze odpowiedzią ekonomistów, którzy zrozumieli, że psychologia i kognitywistyka mają wiele do powiedzenia o ludzkim zachowaniu. Pojawiła się też czerpiąca z neurobiologii neuroekonomia. Ekonomiści wciąż w dużej mierze ignorują jednak np. socjologię, choć jest tam mnóstwo ciekawych prac, które warto byłoby włączyć do ekonomii.

Jakie konkretnie ustalenia socjologii ekonomiści pomijają?

Weźmy socjologię ruchów społecznych. Jeśli chcemy zrozumieć terroryzm albo ruch ekologiczny, to działają one według pewnej logiki, od dawna badanej przez socjologów. Ekonomiści powinni się temu przyjrzeć. Ostatni przejaw tej hermetyczności, o której mówię, to ignorowanie filozofii i innych dyscyplin normatywnych. Żeby ekonomia mogła sformułować jakąkolwiek praktyczną radę czy jakikolwiek wniosek normatywny, musi przyjąć pewne założenia – czym jest dobrobyt człowieka, co znaczy dobrze żyć, czym jest dobre społeczeństwo. A ekonomistów w dużej mierze nie obchodzi, to że filozofowie zajmują się tymi pytaniami od 2,5 tys. lat.

Mówi pan, że ekonomiści chcą czynić dobro, czyli, by sięgnąć po formułę Marksa, nie tylko opisywać świat, lecz także go zmieniać. Moc przewidywania ekonomii, przynajmniej w porównaniu z naukami przyrodniczymi, jest jednak bardzo słaba. Proponowanie rozwiązań opartych na ekonomii może więc być ryzykowne i nieskuteczne.

Co do trafności prognoz ekonomicznych, noblista Kenneth Arrow miał na to dobrą odpowiedź. W czasie wojny pracował w wojsku jako meteorolog, a dopiero potem został słynnym ekonomistą. Kiedy ktoś mu mówił, że ekonomiści nie potrafią przewidywać, odpowiadał, że meteorolodzy też nie potrafią, przynajmniej poza pewnym horyzontem czasowym. A czy rezygnujemy z meteorologii? No właśnie. Fizycy świetnie przewidują zjawiska w laboratorium, ale proszę poprosić fizyka o przewidzenie toru lotu pojedynczego liścia podczas jesiennej burzy. Nie da rady. Może rozumieć dynamikę i procesy, ale nigdy nie będzie miał dość informacji, by to wyliczyć. Kiedy więc np. pytamy ekonomistę, co się jutro stanie z kursem akcji, przypomina to raczej przewidywanie lotu liścia w burzy niż zachowania bozonu w kontrolowanym eksperymencie.

To zgrabny kontrargument. Ekonomiści jednak nie chcą przewidywać lotu liścia, chcą zaprojektować całe drzewo. I tu właśnie łatwo o porażkę, bo, jak pan sam zasugerował, zmiennych jest zbyt wiele, by nad nimi zapanować, a oddzielenie tych istotnych od nieistotnych wciąż sprawia trudność. Weźmy ekonomistów pracujących dla gospodarek centralnie planowanych. Byli znakomitymi matematykami, jeden z nich, Leonid Kantorowicz, dostał nawet Nobla za swój model, a jednak wszystkie ich projekty zawiodły.

Już Adam Smith krytykował „człowieka systemu", który sądzi, że może poukładać gospodarkę tak, jak układa się figury na szachownicy. Dla Smitha było to absurdem, bo nigdy nie będziemy wiedzieć dość o tych figurach. Poważni ekonomiści nie udają, że potrafią zorganizować całe drzewo, czyli gospodarkę. Potrafią jednak co nieco zreperować, projektując pewne mechanizmy. Ekonomia dość dobrze opisuje np. to, jak dawanie pieniędzy biednym ludziom może im pomóc wyjść z ubóstwa. Mamy mnóstwo dowodów, że to może działać – oczywiście poza pewnymi grupami, takimi jak osoby z ciężkim uzależnieniem czy z poważnymi zaburzeniami psychicznymi, które potrzebują leczenia. Ekonomiści przyglądali się temu w randomizowanych badaniach kontrolowanych. Okazuje się, że ludzie, którzy dostają pieniądze, wykorzystują je, żeby stanąć na nogi, a nie by je przejadać. Bezdomni i ludzie skrajnie ubodzy kosztują nas więcej, gdy nie dostają zapomóg, niż gdyby je dostawali – bo przecież i tak trzeba im zapewnić usługi publiczne. Moglibyśmy zaoszczędzić, dając im pieniądze na mieszkanie, ubranie, prysznic, żeby mogli znaleźć pracę i wrócić do normalnego życia. Gdy mówię, że ekonomiści chcą czynić dobro, nie mam na myśli gospodarki planowej. Mam na myśli konkretne propozycje, które politycy mogą wdrożyć, które zostały zbadane najlepszymi dostępnymi metodami naukowymi i które, na ile potrafimy to ocenić, działają. Nic nie jest pewne, ale istnieją rzeczy, które możemy zrobić, żeby poprawić życie ludzi, także tych najsłabszych.

Proszę jednak zauważyć, że np. Polska nie jest hojnym państwem opiekuńczym. U nas nie da się żyć z zasiłków – są niewielkie, więc nadal pozostanie się biednym. Zachodnia Europa jest pod tym względem znacznie hojniejsza, a jednak we Francji, w Niemczech czy we Włoszech bezdomnych i żebrzących na ulicach jest wyraźnie więcej niż w Polsce. Nie chcę jednak wchodzić w spór o to, czy zasiłki działają. Chodzi mi o to, że rozwiązania proponowane przez ekonomistów są obarczone tyloma niewiadomymi, że trzeba zapytać, kto poniesie odpowiedzialność, jeśli zawiodą. Czy ekonomistów również powinno się rozliczać z ich pomysłów?

Oczywiście, że tak. Pośrednio. W dobrze urządzonej demokracji to nie ekonomiści podejmują decyzje o własności, prawie, transferach, inwestycjach, tylko politycy. W demokracji mamy mechanizm rozliczania – wybory. W dobrze urządzonym państwie politycy wdrażają rozwiązania na podstawie najlepszej wiedzy eksperckiej, a potem odpowiadają za skutki. Jeśli się okaże, że jakiś ekonomista albo całe środowisko konsekwentnie się myli, to wyborcy przy urnie ocenią polityków, którzy zdecydowali się ich słuchać.

Bieda na Zachodzie to dziś mniejsze zmartwienie w porównaniu z innymi zagrożeniami, takimi jak wojna czy autorytaryzm. Czy ekonomia może pomóc także w tych dziedzinach?

Stwierdzenie, że współczesna medycyna leczy, nie znaczy, że każdy lek wyleczy każdą chorobę, że każdą chorobę da się wyleczyć ani że medycyna sama z siebie cokolwiek wyleczy. To przecież jasne, że trzeba ją stosować ostrożnie i precyzyjnie, na podstawie właściwych wartości, może i z pewnym wyczuciem estetyki. Tak samo nie wszystko, co robią ekonomiści, ratuje świat ani nie każdy problem da się rozwiązać za pomocą ekonomii. Ekonomia sama nie rozstrzygnie pytań normatywnych, pytań o wartości, np. o to, czym są sprawiedliwe społeczeństwo, dobrobyt, dobre życie czy przyzwoity poziom życia. Na te pytania trzeba odpowiadać argumentacją filozoficzną, być może z uwzględnieniem tradycji religijnych oraz poglądów i wartości ludzi, których dana interwencja dotyczy.

Załóżmy, że przyjmujemy pańską tezę i powstaje szeroki ruch: politycy zatrudniają ekonomistów

eprasa.pl 3965647923

do rozwiązywania problemów społecznych i gospodarczych. Muszą jednak wybrać właściwych ludzi, a pominąć niewłaściwych. Jakie jest kryterium dobrej ekonomii i dobrego ekonomisty?

To realne wyzwanie. Jeśli nie jest się ekspertem w danej dziedzinie, a potrzebuje się eksperta, to skąd wiadomo, kto nim jest? W nauce co do zasady nie należy ufać żadnemu pojedynczemu naukowcowi. Nie chodzi więc o to, żeby wybrać najlepszego i robić, co każe. Trzeba brać pod uwagę konsensus w dyscyplinie. W niektórych kwestiach panuje duży spór, są też jednak kwestie, w których panuje rzeczywista zgoda. Na przykład ok. 90 proc. ekonomistów zgadza się, że kluczowym narzędziem walki ze zmianą klimatu jest podatek węglowy. Od lewa do prawa – marksiści, prawicowcy, klasyczni liberałowie, konserwatyści – wszyscy uznają, że to najlepszy sposób osiągnięcia celów, które stawiają sobie ludzie. W takiej sytuacji problem wyboru eksperta, któremu można zaufać, praktycznie znika.

To doskonały przykład, który przemawia przeciwko pańskiej tezie. Proszę spojrzeć na praktykę polityczną. Co wygrało? Nie podatek węglowy, tylko sztuczny rynek handlu uprawnieniami do emisji wymyślony przez mniejszość ekonomistów. Główny nurt ekonomii, dość wyważony w swoich wnioskach, jest w polityce wypierany przez margines. Przez te wszystkie szkoły, które twierdzą, że ekonomia neoklasyczna to bzdura i akademicki establishment, a one znają prawdę.

Jeśli politycy słuchają szaleńców i głupców, to nie można za to winić ekonomistów. Uważam jednak, że pewna różnorodność podejść wśród ekonomistów jest pożyteczna, bo pozwala ustalić, kiedy spory wynikają z odmiennej interpretacji danych, a kiedy z odmiennych wartości.

To uprawnione. Jeśli pan jest marksistą, a ja neoliberałem, to mamy prawo wnosić do dyskusji różne wartości, które mogą nas prowadzić do różnych wniosków. Naszym obowiązkiem jako ekonomistów jest wtedy jasno mówić, jakie to wartości, żeby politycy, opinia publiczna i wszyscy, którzy korzystają z naszych rad, rozumieli, skąd się biorą te pomysły i różnice.

Oczywiście. Tyle że jeśli twierdzimy, że ekonomia może uratować świat, to jak obronić tę tezę w zderzeniu z praktyką polityczną? Nie da się jej przecież wyłączyć z rozważań.

Wróćmy do zdania, że współczesna medycyna leczy choroby. Istnieją społeczności, które odrzucają niemal wszystko, czego uczy medycyna: skuteczność szczepionek, rozmaite terapie, transfuzje krwi. To problem, choćby dla dzieci, które chorują na odrę. Ale to, że niektórzy odrzucają interwencje oparte na wiedzy medycznej, nie jest powodem, by odrzucić medycynę. Jest powodem, by lepiej tłumaczyć, co robi medycyna i jak działają szczepionki, i by budować zaufanie. Bardzo mi ciąży to, że kiedy ludzie nie słuchają ekspertów, to najczęściej nie dlatego, że są głupi albo za mało wiedzą, tylko dlatego, że ekspertom nie ufają. My po prostu nie umiemy budować zaufania w rozmowie z opinią publiczną. To trzeba zmienić.

Jakie błędy naukowcy popełniają najczęściej, tłumacząc naukę laikom?

Mówią do ludzi z góry, jakby rozmawiali z głupcami. Odrzucają systemy wartości różne od własnych. Jak już mówiłem, ekonomista nie ma prawa udawać, że nauka daje mu podstawy do odrzucania wartości ludzi, którzy myślą inaczej. Ekonomia sama w sobie nie rozstrzyga kwestii normatywnych. Jako środowisko poświęcamy też za mało czasu na wyjaśnianie ludziom spoza własnej profesji, czym się zajmujemy. System zachęt sprawia, że ekonomista chce zaimponować innym ekonomistom. Posługujemy się wyrafinowanym językiem, modelami matematycznymi, poświęcamy mnóstwo czasu na budowanie jeszcze bardziej wyrafinowanych modeli, a tłumaczenie naszej pracy ludziom spoza zawodu nie przynosi nam osobistej korzyści. A szkoda, bo w dużej mierze finansują nas podatnicy, którzy mają prawo wiedzieć, co robimy z ich pieniędzmi.

Pracował pan na wolnorynkowym George Mason University, zna pan myśl Hayeka. Hayek twierdził, że ład spontaniczny wyłania się wtedy, gdy nikt w niego nie ingeruje. A tu przychodzą ekonomiści i mówią: to chcemy zmienić, tamto zaprojektować. Gdzie jest punkt, za którym to podejście staje się inżynierią społeczną?

Wróćmy do Adama Smitha. Odróżniał dwie postawy. Jest człowiek systemu, który chce przebudować społeczeństwo według własnych upodobań. To jest ten zły rodzaj ekonomisty czy inżyniera społecznego. Ale jest też inny rodzaj – ktoś, kto stara się znaleźć najlepsze możliwe reguły i zbudować najlepsze możliwe instytucje, w ramach których ludzie mogą się rozwijać jako racjonalne podmioty gospodarcze. To nie jest inżynieria społeczna w tym odpychającym sensie. Każdy rynek zakłada pewne ramy, pewien zestaw reguł i instytucji. Noblista Alvin Roth, który był zresztą moim pierwszym nauczycielem ekonomii, napisał książkę „Who Gets What and Why" i jedna z jego głównych tez głosi, że każdy rynek – taksówek, hoteli czy nerek – rządzi się swoimi regułami określającymi, kiedy coś jest naszą własnością i co wolno nam z nią robić. Kupno ziemi nie znaczy, że możemy zabronić komuś przelatywać nad nią samolotem. Własność to wiązka uprawnień, a to, jaką dokładnie wiązkę dostajemy, kupując coś, podlega naszym decyzjom. Istnienie reguł nie stoi w sprzeczności z wolnym rynkiem, z wszystkimi korzyściami, które dają przedsiębiorczość, innowacyjność, ludzka wolność, autonomia i samostanowienie. Przeciwnie, wolny rynek w ogóle zakłada istnienie pewnego systemu reguł. Roth podkreśla, że te reguły muszą zostać zapisane w prawie, że często można to zrobić na różne sposoby i że istniejące prawo zwykle da się ulepszyć. Rynek nerek jest jednym z jego przykładów. Niemal wszystkie kraje poza Iranem zakazują handlu narządami, bo uważamy, że nie powinno się móc wystawić nerki na eBayu. Możemy jednak zbudować instytucję, w której ludzie dobrowolnie dokonują wymiany w sposób niebudzący moralnego sprzeciwu, a zarazem poprawiający ich życie.

Pańskie filozoficzne zainteresowania skupiają się wokół kwestii dobrego życia. Jaki jest związek między ekonomią, dobrym życiem a szczęściem?

W ekonomii zawsze chodziło o dobrobyt. Dobrobyt można jednak rozumieć różnie. We współczesnej ekonomii neoklasycznej rozumie się go zwykle jako zaspokojenie preferencji, czyli stwierdzenie, że dobrze ci się wiedzie, kiedy dostajesz to, czego chcesz. Ale można przyjąć inną definicję – powodzi ci się dobrze, jeśli jesteś szczęśliwy. Ekonomiści zajmują się tą perspektywą od ponad 50 lat. Przełomowe było badanie Richarda Easterlina z 1974 r. poświęcone związkowi między wzrostem gospodarczym a szczęściem. Easterlin opisał to jako paradoks. Poziom szczęścia w czasie pozostaje względnie stały mimo wzrostu gospodarczego, jeśli jednak spojrzymy na przekrój społeczeństwa w danym momencie, to zobaczymy bardzo silny związek między dochodem a szczęściem.

Czyli nie da się określić jednoznacznie, czy pieniądze dają szczęście?

To bardziej złożone. Okazuje się, że szczęście można kupić za pieniądze...

A jednak!

...przynajmniej wtedy, gdy nie ma się ich wiele. Posiadanie większej ilości pieniędzy uszczęśliwi bardziej tych, którzy wcześniej mieli ich niewiele. Mechanizm może polegać na tym, że zwłaszcza biednym pieniądze dają poczucie bezpieczeństwa, wolność, spokojny sen ze świadomością, że pod koniec miesiąca zapłaci się rachunki albo udźwignie nieprzewidziany wydatek, np. wizytę u dentysty. Im ktoś jest bogatszy, tym mniejszy efekt kolejnych pieniędzy dla jego szczęścia.

Spada do zera? Elon Musk nie stanie się szczęśliwszy, gdy zarobi kolejny miliard?

Nie spada do zera. Nawet bardzo bogaty człowiek przeciętnie stanie się trochę szczęśliwszy, jeśli dostanie trochę więcej pieniędzy. Nie znaczy to jednak, że należy zarabiać tyle, ile się da, ani że trzeba poświęcić wszystkie inne dobra dla pieniędzy. Zarabianie więcej zwykle wymaga wyrzeczeń, a te również kosztują nas szczęście. W pewnym momencie będziemy na tyle bogaci, że szczęście z dodatkowych pieniędzy nie zrównoważy straty wynikającej z tego, co poświęcamy, np. z utraconego czasu z przyjaciółmi czy z rodziną.

Większość rozwiązań proponowanych przez ekonomistów głównego nurtu ma charakter rynkowy. Michael Sandel, zajmujący się również gospodarką filozof z Harvardu powiedziałby zapewne, że właśnie to należy krytykować: ekonomizujemy coraz to nowe sfery życia, które dotąd pozostawały poza rynkiem, i w ten sposób je niszczymy.

Rozumiem ten argument jako twierdzenie, że są dziedziny życia, w których logika ekonomiczna jest na miejscu, i takie, w których nie jest. Oczywistym przykładem jest seks. Jeśli w relacji seksualnej pojawiają się pieniądze, cała dynamika się zmienia. Gdy proponujemy komuś zapłatę za usługi seksualne, przechodzimy ze sfery dobrowolnych relacji do transakcji ekonomicznej, co całkowicie zmienia uczucia zaangażowanych osób. Na tym poziomie wiele przemawia za stanowiskiem Sandela. Są relacje i obszary, do których pieniądze nie powinny mieć wstępu. Ekonomia jest jednak czymś znacznie szerszym niż wprowadzanie pieniędzy do różnych sfer życia. Dotyczy w gruncie rzeczy wszelkiego zachowania w warunkach niedoboru. Mamy system wymiany nerek zaprojektowany przez Ala Rotha właśnie dlatego, że uznajemy handel narządami za moralnie naganny i potrzebujemy innej instytucji, w ramach której ludzie mogą dobrowolnie dokonywać tak głęboko osobistej wymiany w sposób etyczny. To wprowadzenie ekonomii w szerszym sensie, ale bez narzucania ściśle finansowej, pieniężnej logiki. Przyznaję więc Sandelowi rację w niektórych kwestiach, ale ja sam posługuję się szerszym rozumieniem ekonomii.

Na koniec: którego z żyjących ekonomistów, ograniczmy się do noblistów, uważa pan za najbardziej pożytecznego, jeśli chodzi o ratowanie świata?

Wysoko stawiam wspomnianego Ala Rotha. Nie tylko dlatego, że znam go osobiście. Jego prace są naprawdę ważne. Docenia on też rolę moralności w ekonomii i znaczenie refleksji normatywnej w samym sercu myślenia ekonomicznego. Moją ulubienicą jest jednak również Elinor Ostrom. Z wykształcenia politolog, dostała ekonomicznego Nobla za badania nad zarządzaniem zasobami wspólnymi i nad tym, jak wokół nich organizują się wspólnoty. W rezultacie broniła czegoś, co można uznać za filozofię polityczną: przekonania, że wspólnoty mogą się samoorganizować bez ingerencji państwa, bez jego ciężkiej ręki, ale często również bez niewidzialnej ręki rynku. Tę przestrzeń nazywała „poza rynkami i państwem". To niezwykle inspirujące i żałuję, że tak mało osób o tym wie. ©℗



FOT. RICKARD KILSTROM/ MATERIAŁY PRASOWE

Erik

Angner

filozof ekonomii, profesor na Uniwersytecie Sztokholmskim, autor książki „Jak ekonomia może ocalić świat"

eprasa.pl 3965647923

Historia

Ostatnia taka dżuma

Bakteria Yersinia pestis pożegnała się z Europą w swoim stylu. Najpierw w 1770 r. morowa zaraza przetoczyła się przez ziemie polskie, mołdawskie i węgierskie, by w kolejnym roku wyludnić Moskwę



„Lincz na metropolicie moskiewskim Ambrożym podczas zarazy w 1771 r.", ilustracja Charlesa-Michaela Geoffroya z 1845 r.

Andrzej

Krajewski

Zgon młodej rosyjskiej laborantki Darii Szypiłowej zaalarmował świat. Wprawdzie przebieg zdarzenia objęto tajemnicą, ale i tak zrobiło się o sprawie głośno: bo pracownica Irkuckiego Instytutu Przeciwdżumowego Syberii i Dalekiego Wschodu zakaziła się dżumą. A pamięć o epidemiach wywołanych przez Yersinia pestis, które zabiły dziesiątki milionów ludzi, nie wygasła. Podobnie jak lęk przed morowym powietrzem.

Od powietrza i wojny wybaw nas, Panie

„Choroby wielkie panują w obozie moskiewskim, od Tynny aż do Połonnego. Choćby kto nie wiedział drogi, to zakopanych trupów mogiłami przy drodze zbłądzić nie może" – tej treści ostrzeżenie przesłano z Kamieńca Podolskiego do Warszawy w październiku 1769 r. Komendant najpotężniejszej twierdzy Rzeczpospolitej gen. Jan de Witte nie pozwolił, żeby jego garnizon przyłączył się do konfederacji barskiej. Jednak po cichu z nią sympatyzował, uważnie obserwując poczynania rosyjskich wojsk, prowadzących także działania przeciwko Turkom.

Tymczasem konfederaci zetknęli się z nowym wrogiem. Wówczas jeszcze nie przypuszczano, że to dżuma. Choć wieści o jej przypadkach w Mołdawii krążyły już wiosną. „Józef Pułaski, konfederat barski, był jedną z pierwszych polskich ofiar wielkiej epidemii dżumy, zmarł koło Benderu nad Dniestrem ok. 20 kwietnia 1769 r." – pisze Adam Kucharski w opracowaniu „Epidemie i choroby w doniesieniach polskiej prasy rękopiśmiennej z drugiej połowy XVIII w". Zgon Pułaskiego w mieście będącym głównym portem rzecznym Mołdawii zwiastował nadciągające niebezpieczeństwo. Ale wówczas epidemia jedynie się tliła.

Ten stan rzeczy zmieniła rozpoczęta latem ofensywa wojsk rosyjskich. „Wkrótce po zdobyciu przez Rosjan Chocimia (we wrześniu 1769 r.) i zajęciu zaraz potem Gałacza wydarzyło się w temże mieście, wśród załogi wojskowej, kilka wypadków śmierci skutkiem choroby, mającej niewątpliwe znamiona owej morderczej zarazy" – relacjonuje w monografii „Dżuma w Europie w stuleciu bieżącem i przeszłem" lekarz i historyk medycyny prof. Józef Oettinger.

Rosyjskie siły wkrótce rozpoczęły odwrót spod Jassów i w jego trakcie nie odnotowano nowych zgonów. „W mieście samem dopiero po trzech tygodniach rozeszła się ponura wieść o wybuchu dżumy w szpitalu, stwierdzona śmiercią nagłą Żyda, który tam kilku chorych Rosyjan był odwiedził" – opisuje Oettinger. „Nabył on od żołnierza, będącego już na wyzdrowieniu kożuch turecki w Gałaczu zdobyty, obrócił go na własny użytek i skonał niebawem z dwojgiem dzieci, dzielących jego łoże i los smutny. Mimo to nie przedsiębrano środków wskazanych, ograniczono się do prostego zamknięcia domu Żyda bez jego wyczyszczenia, odwietrzenia i strzeżenia" – dodaje.

Zatem włamali się do niego złodzieje, a wraz z rozkradzionymi rzeczami epidemia rozniosła się po mieście. Wówczas władze nakazały wywożenie chorych do pobliskiego lasu i tam grzebania, gdy zmarli. Ale mieszkańcy ukrywali zakażonych krewnych w domach. Gdy ci umierali, pochówek urządzali im w piwnicach albo przydomowych ogródkach. Sami się przy tym zakażając. Epidemia zatem wkrótce dotknęła leżące na północ od Jass, blisko polskiej granicy, Botoszany. Jak odnotowano na 340 stacjonujących tam rosyjskich żołnierzy zmarło w krótkim czasie 113. Podobny los spotkał ok. 800 cywili. Reszta uciekła w popłochu w góry.

Wówczas na południowych rubieżach Rzeczpospolitej zaczęto odmawiać błagalną modlitwę na czasy klęsk: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie!". Co oznacza morowe powietrze wiedział każdy.

Wielki strach

„Wiosną 1770 r. można obserwować ciągle rosnący strach wraz z niepokojącymi wieściami, które zaczęły napływać zza południowej granicy państwa. Dowiadywano się, że na Wołoszczyźnie «powietrze wszczęło się» i było przyczyną zwiększonej liczby zgonów w wojsku rosyjskim. Było ich więcej niż strat w ludziach wynikających z nasilonych, mimo panującej epidemii, starć zbrojnych z Turkami" – opisuje Adam Kucharski. W tym czasie dowódcy rosyjskiej armii przestali się upierać, że szerząca się choroba nie jest dżumą. Latem i jesienią 1770 r. odnotowano coraz więcej jej ognisk, już nie tylko w Mołdawii, lecz także w Siedmiogrodzie.

Tymczasem wojna rosyjsko-turecka uniemożliwiała tworzenie kordonów sanitarnych i jednocześnie skłaniała ludzi do ucieczek, gdy nadciągały wojska. Bakterię roznoszono zatem coraz dalej, lecz mimo to epidemia nie przybrała katastrofalnych rozmiarów. Odnotowano bowiem tylko ok. 1,2 tys. zgonów. Najprawdopodobniej skutecznym mechanizmem obronnym stały się spontaniczne reakcje mieszkańców małych wsi i miasteczek, panicznie bojących się dżumy. Gdy pojawiał się choć jeden przypadek, ludzie uciekali w góry, organizując sobie w ten sposób skuteczną kwarantannę.

Tymczasem wieści o zarazie wciąż napływały do stolicy Polski. „W sierpniu (1770 r. – red.) poczucie narastającego zagrożenia fabrykowało chaos informacyjny i plotki mogące wywołać panikę mieszkańców Warszawy, gdyż powtarzano pogłoskę, że pałac Pociejów był ogarnięty dżumą z winy rosyjskich markietanów" – opisuje Adam Kucharski. Ukazujące się w stolicy gazety systematycznie temu zaprzeczały, ale strach narastał. Aż ze Stanisławowa, Zasławia i Żółkwi napłynęły doniesienia o pierwszych przypadkach dżumy w Polsce. Król Stanisław August Poniatowski nie chciał dać im wiary, woląc ufać medykom, których w połowie sierpnia posłał do Lwowa na rekonesans. Po czym „Wiadomości Warszawskie" poinformowały, że byli oni „w Żółkwi i czynili obchód po innych miejscowościach Podola". Profesor Oettinger pisze, iż przesłali królowi list, w którym orzekli, że „nie można choroby tej poczytywać za dżumę". Zdaniem

eprasa.pl 3965647923

lekarzy „wielka zaś śmiertelność prostego ludu pochodzi z nędzy rozpostartej i niedostatku pomocy lekarskiej".

Ale wysyp wiadomości o przypadkach czarnej śmierci temu przeczył. „Wielu magnatów mieszkających w Warszawie, a dobra swe posiadających w zadżumionych okolicach, powysyłali felczerów dla niesienia ratunku" – relacjonuje prof. Oettinger. Ich świadectwa skłoniły wreszcie władze do podjęcia działań prewencyjnych. Przy czym nie chodziło o władze polskie. „W działalności przeciwepidemicznej, jak się okazało, decydujący głos miała ambasada rosyjska w Warszawie – ambasador Michał Wołkoński i dowodzący rosyjskim wojskiem Iwan Weymarn" – zauważa Ewa Danowska w opracowaniu „Zapobieganie i walka z epidemiami na południowo-wschodniej granicy Rzeczypospolitej za czasów króla Stanisława Augusta Poniatowskiego".

Wykonując polecenie ambasadora, rosyjski generał rozkazał swoim oddziałom utworzyć kordon sanitarny odcinający południe Rzeczpospolitej od reszty kraju. Żołnierze ustawili na drogach posterunki i nie przepuszczali nikogo. Dopiero wówczas doproszono do współpracy Polaków. „2 października 1770 r. odbyły się rozmowy gen. Weymarna z Franciszkiem Ksawerym Branickim, podczas których uzgodniono nowy plan kordonu, aby nie dopuścić dżumy do województw lubelskiego, mazowieckiego i podlaskiego oraz na Litwę". Z początkiem 1771 r. odcięto od Rzeczpospolitej województwa: podolskie, bracławskie, ruskie i wołyńskie.

Prewencja czyni różnicę

„Tak zatem szczelności granic strzegli wówczas żołnierze zarówno polscy, jak i rosyjscy. Kanclerze natomiast rozesłali listy do senatorów i starostów, wzywając do «chwycenia się różnych sposobów ratunku w tak nieszczęśliwych okolicznościach». Z polecenia lekarzy ogłoszono drukiem sposób preparowania octu, stosowanego przeciw grasującej zarazie w celu jej zatrzymania" – pisze Danowska.

Niestety, nie posiadano wówczas wiedzy, by zorientować się, że kwas octowy doprawiony ziołami wprawdzie zabija wiele mikroorganizmów, lecz Yersinia pestis większej krzywdy nie czyni. Zwłaszcza że głównym jej nosicielem są pchły, pasożytujące na zwierzętach i ludziach. Zatem dezynfekowanie mieszkań preparatem, nazywanym tradycyjnie octem czterech złodziei (jako pierwsi mieli się nim zacząć nacierać w średniowieczu złodzieje okradający domy zmarłych), niewiele zmieniło. Acz przynajmniej nacieranie skóry octem odstraszało insekty.

Skuteczniejszą metodą okazał się system kwarantann. W trakcie przechodzenia przez kordony sanitarne podróżni musieli co najmniej 15 dni spędzić w wydzielonych dla nich miejscach odosobnienia. Wówczas lekarze i cyrulicy regularnie ich badali, poszukując oznak choroby. Dzięki konsekwentnemu trzymaniu się tej zasady dżuma nie przedostała się poza kordon sanitarny. Tak udało się ocalić większość mieszkańców Rzeczpospolitej przed doświadczeniem strasznych rzeczy, jakie działy się na jej południowo-wschodnich rubieżach.

Dokumentujący pod koniec XIX w. przebieg ostatniej morowej zarazy prof. Oettinger doliczył się 47 miast i aż 580 wsi, które ona dotknęła. Żółkiew i Zaleszczyki zupełnie opustoszały, bo mieszkańcy zmarli lub uciekli. „Międzybóż stracił ludzi 6 tys., Zasław 4 tys., Dubno 8 tys., Bar z okolicznemi włościami 12 tys., Kamieniec 1,2 tys." – odnotowywał Oettinger. Twierdząc, że podczas epidemii zmarło ponad 200 tys. mieszkańców ówczesnej Polski. „Od marca 1771 r. zaraza na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej ustała – wygasła po mroźnym lutym. Podawana jest liczba 200 tys. zmarłych na zarazę, choć być może liczba ta jest przesadzona. Faktem jednak jest, że w niektórych wsiach i miastach Podola straty wśród ludności wynosiły 60, a nawet 80 proc." – podsumowuje Ewa Danowska. Ich śmierć nie odbiła się jednak głośnym echem w Europie, bo ta skupiła całą uwagę na Moskwie.

Stolica epidemii

„Pierwszy wybuch zarazy w starej rosyjskiej stolicy pokrywa mgła niepewności dotychczas niewyjaśnionej. Opowiadano, że jakiś dostojnik powrócił z Benderu w październiku 1770 r. z kilku jeńcami tureckimi, których, gdy zmarli, potajemnie zagrzebano. Na tę wieść dom podejrzany strażami obstawiono i tak długo poddano bacznej czujności, aż wszelka znikła z tego powodu obawa" – opisuje Józef Oettinger.

Dwa miesiące później zaczęli nagle umierać pacjenci w jednym ze szpitali, a ich śladem podążyli lekarze. Gubernator Moskwy Piotr Sałtykow posłał do Petersburga ostrzeżenie i wkrótce caryca Katarzyna II nakazała mu ustawić wojskowe posterunki na rogatkach miasta. Moskwę wolno było opuścić dopiero po odbyciu kwarantanny. Jednocześnie władczyni zabroniła wszelkich kontaktów z jej mieszkańcami. Wkrótce okazało się, że Rosjanie dużo mniej chętnie podporządkowują się takim obostrzeniom od Polaków. „Nie obyło się zresztą bez przypadków nadużycia władzy. Katarzyna musiała wydać kolejny manifest, tłumaczący konieczność podjęcia drakońskich środków ostrożności. W mieście zaczęły krążyć pogłoski, że epidemię rozprzestrzeniają sami lekarze w podawanych do zażycia miksturach" – opisuje Władysław Serczyk w monografii „Katarzyna II".

Sałtykow próbował dyscyplinować ludzi, ale ci stawali się coraz bardziej krnąbrni. Strach przed szerzącą się dżumą okazywał się większy niż ten, który wzbudzała caryca. „Choroba tymczasem wzmagała się, dziennie umierało, mimo znacznie umniejszonej przez wyjazd ludności, od 27 do 75 osób, a w ciągu miesiąca (czerwca – red.) 1099. W lipcu liczba doszła do 1708 osób, na niektórych przedmieściach opustoszało wiele domów. Pozamykano sądy i warsztaty, a gdy całe szeregi niższej służby, żołnierzy, pielęgniarzy i grabarzy wyginęły, ucieczono się do wypuszczenia złoczyńców z więzień celem użycia ich do obsługi chorych i grzebania zmarłych" – relacjonuje prof. Oettinger.

Tak upłynęło osiem miesięcy blokady Moskwy, a epidemia nie chciała wygasnąć. Ludzie więc zachowywali się coraz bardziej desperacko. „Sałtykow tracił panowanie nad sytuacją. W połowie września nie wytrzymał nerwowo. Sporządził raport dla Katarzyny i wyjechał na kilka dni do majątku pod Moskwą. W raporcie komunikował, że dzienna śmiertelność przekroczyła liczbę 800 osób, wielu mieszkańców uciekło i z coraz większą trudnością można zdobyć jakiekolwiek pożywienie" – pisze Serczyk.

Gdy tylko gubernator opuścił miasto, wybuchł bunt. Mieszkańcy podnieśli go dlatego, że metropolita moskiewski Ambroży odmówił im odprawienia publicznych modłów przed znaną z czynienia cudów ikoną. Poza tym zagarnął cerkiewne fundusze i w obawie przed zarazą nie chciał pokazywać się publicznie. Zatem rozwścieczony tłum zaczął 27 września 1771 r. (16 września według kalendarza juliańskiego) szukać pasterza. „Dopadnięto go dopiero następnego dnia w jednej z cerkwi, wywleczono na pole i bestialsko zamordowano, tłukąc przez dwie godziny kijami, aż zrobiono z niego bezkształtną miazgę krwi, kości i mięsa" – relacjonuje Władysław Serczyk.

Wówczas dowodzący garnizonem gen. Piotr Jeropkin rozkazał strzelać do buntowników z dział. Zginęło ponad 100 uczestników linczu, prawie 250 udało się aresztować, reszta uciekła. Ale tłum wkrótce znów się zebrał i ruszył szturmować Kreml, żeby odbić więźniów. Atak ten został odparty przez żołnierzy. „Był to ostatni epizod powstania. Katarzyna wysłała do Moskwy Grzegorza Orłowa" – pisze Serczyk.

Faworyt carycy usunął ze stanowiska Sałtykowa i zgodnie z jej zaleceniem nakazał wymierzenie wszystkim uczestnikom buntu kary chłosty. Natomiast na śmierć skazano jedynie trzy osoby, którym udowodniono, że okładali kijami metropolitę Ambrożego. Następnie Orłow wprowadził w mieście wiele rozsądnych zmian. Zniósł nakaz zabierania chorych do szpitali i zastąpił go izolowaniem ich wraz z rodzinami w domach. Tak przechodzono kwarantannę. Jeśli wszyscy umierali, wówczas domy palono. Wprowadził też zapomogi dla biednych, odblokował dostawy żywności oraz nakazał powszechne odkażanie octem mieszkań. Nadzorowaniem tego zajęła się powołana przez namiestnika rada zdrowia.

Orłowowi sprzyjało szczęście i w październiku liczba nowych zachorowań radykalnie spadała. Po czym z końcem listopada 1771 r. epidemia wygasła. „Ilu zginęło ludzi ściśle nie obliczono, gdyż przed dniem 1 kwietnia 1771 r. żadnych nie spisywano wykazów. Przypuścić można, że z liczby zmarłych w czasie od 1-go Kwietnia do 31 Grudnia 1771 r. wynoszącej ogółem 56.833, przynajmniej 52 tys. uległo zarazie, nie licząc tysiąca zatajonych, ani tych co zmarli przedtem" – podsumowuje prof. Oettinger.

To oznaczało, że dżuma przed zniknięciem z Europy zabiła ok. jednej trzeciej mieszkańców Moskwy. Po takim pożegnaniu pojawiała się jeszcze lokalnie, lecz nigdy już w równie efektownym stylu. ©℗

KOMUNIKAT

OBWIESZCZENIE
WOJEWODY WIELKOPOLSKIEGO
z 21 października 2026 r.

Na podstawie art. 8 ust. 1 pkt 3 w związku z art. 38 pkt 2 lit. zg ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu (Dz.U. z 2025 r. poz. 1222) – zwanej dalej: ustawą,

zawiadamiam

o wszczęciu postępowania o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycjom w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu, na rzecz GAZ-SYSTEM S.A., dla zadania pn. „Przebudowa ogrodzenia i zjazdu z drogi publicznej do ZZU odb. Kalisz I i II ul. Poznańska (410a1, 500b2, 410b1, 500c1)"", w zakresie działek oznaczonych w ewidencji gruntów i budynków jako:

– w wykazie w nawiasach podano oznaczenie księgi wieczystej.

Miasto Kalisz,
Jednostka ewidencyjna: 306101_1, Kalisz - miasto,
Obręb: 0125 Ogrody, dz. nr ewid.: 15 (KZ1A/00077510/6);
Obręb: 0153 Dobrzec, dz. nr ewid.: 46/2 (KZ1A/00045149/1), 46/4 (KZ1P/00028081/6).

Jednocześnie zawiadamiam, że zgodnie z art. 49 § 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. - Kodeks postępowania administracyjnego (Dz.U. z 2025 r. poz. 1691) - zwanej dalej: Kpa, w związku z art. 8 ust. 1 pkt 3 ustawy, zawiadomienie stron postępowania uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od **22 października 2026 r.,** tj. dnia, w którym nastąpiło publiczne ogłoszenie poprzez obwieszczenie w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu i właściwym miejscowo urzędzie gminy, na tablicach ogłoszeń i w Biuletynie Informacji Publicznej, a także w prasie ogólnopolskiej.

W przypadku gdy po dokonaniu niniejszego zawiadomienia nastąpi:

1) zbycie własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycjom w zakresie terminalu,
2) przeniesienie wskutek innego zdarzenia prawnego własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycjom w zakresie terminalu
   – nabywca, a w przypadku, o którym mowa w pkt 1, nabywca i zbywca, są obowiązani do zgłoszenia właściwemu wojewodzie danych nowego właściciela lub użytkownika wieczystego.

Niedokonanie powyższego zgłoszenia i prowadzenie postępowania bez udziału nowego właściciela lub użytkownika wieczystego nie stanowi podstawy do wznowienia postępowania.

Zgodnie z art. 10 Kpa, strony postępowania lub ich przedstawiciele i pełnomocnicy mogą zapoznać się z aktami sprawy w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, Wydział Infrastruktury, Al. Niepodległości 16/18, pok. 105 bud. C, (tel.: 61 854 12 89; e-mail: mkossakowska@poznan.uw.gov.pl; godziny obsługi klientów: poniedziałek, środa, piątek od 8:30 do 15:00; wtorek, czwartek od 12:00 do 15:00, w celu zapewnienia sprawnego przebiegu obsługi, uprzejmie proszę o wcześniejsze uzgodnienie terminu wizyty), a także mają prawo wypowiedzieć się co do zebranych dowodów i materiałów oraz zgłoszonych żądań, jak również składać ewentualne uwagi.

Mapa przedstawiająca granice terenu objętego wnioskiem zostanie zamieszczona wraz z obwieszczeniem **22 października 2026 r.** na stronie internetowej: www.poznan.uw.gov.pl w zakładce Ogłoszenia.

eprasa.pl 3965647923



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Dlaczego pociągi (jeszcze) nie lewitują?

Rafał Woś

W latach 80. XX w. wydawało się, że kolej magnetyczna (maglev) jest bliską przyszłością transportu. Pół wieku później duże komercyjne zastosowania tej technologii na świecie można policzyć na palcach jednej ręki. Co poszło nie tak?

Co to jest maglev? Skrót pochodzi od angielskich słów „magnetic levitation". Chodzi o technologię, w której – w przypadku kolei – pociąg porusza się nie na kołach dotykających szyn, lecz na poduszce magnetycznej. To elektromagnetyczne unoszenie jest możliwe dzięki wzajemnemu oddziaływaniu na siebie magnesów umieszczonych w pojeździe i na torze. Działające tu siły elektromagnetyczne pozwalają pojazdowi poruszać się z bardzo dużymi prędkościami. Znacznie szybciej, niż czynią to pojazdy napędzane konwencjonalnie.

Pierwsze patenty w tej dziedzinie zarejestrowano w początkach XX stulecia. Jednak za ojca technologii uchodzi brytyjski inżynier Eric Laithwaite, który w latach 40. zbudował na Uniwersytecie w Manchesterze tor do testowania poduszki magnetycznej. Jego pojazd pojawił się nawet w jednym z filmowych odcinków serii o Bondzie. I gdy w latach 80. rozwój własnych komercyjnych pojazdów lewitujących zapowiedzieli równolegle Niemcy oraz Japończycy (dwa narody przodujące wówczas w światowej motoryzacji), wydawało się, że kolei magnetycznej nic już nie może zatrzymać.

A jednak. Pięćdziesiąt lat później mamy na świecie ledwie kilka praktycznych zastosowań technologii maglev. Głównie w Azji: Korei Południowej, Japonii czy Chinach. Mniej więcej dekadę temu wielkie inwestycje w kolej magnetyczną zapowiedział Elon Musk – i na tym, jak to u niego, się skończyło (w jego wydaniu miał to być Hyperloop). Europa zaś istniejące instalacje magnetyczne w ostatnim czasie zwija – pod koniec lat 90. przestał kursować magnetyczny wagonik łączący dworzec i lotnisko w Birmingham. W 2006 r. w Niemczech doszło do tragicznego wypadku na torze testowym kolei magnetycznej w Dolnej Saksonii, co było kolejnym powodem do zarzucenia inwestycji.

Z ekonomicznego punktu widzenia przypadek lewitujących pociągów jest intrygujący. Nie tak łatwo jest bowiem wytłumaczyć, dlaczego nastąpił radykalny odwrót od technologii. Oczywiście pierwszym, co przychodzi w takich wypadkach do głowy, są koszty. Tyle że sama technologia maglev nie jest już aż tak horrendalnie droga w porównaniu z konwencjonalną. Szacuje się, że koszt energetyczny obu rozwiązań jest z grubsza podobny. Sam ruch pojazdu jest w przypadku kolei magnetycznej wręcz tańszy, bo nie trzeba go napędzać silnikiem spalinowym ani elektrycznym. To oznacza, że istnieją jedynie koszty infrastruktury oraz jej utrzymania: magnesy, czujniki, systemy regulacyjne. Plus estakady lub tunele, po których albo w których pociągi maglev mogłyby się poruszać.

Na wielu polach kolej magnetyczna ma wręcz przewagę nad zwykłymi pociągami. Jedna z nich to prędkość, która może być znacznie większa. Dość powiedzieć, że aktualny rekord świata (603 km/h) został ustanowiony w Japonii przez napędzany magnetycznie pociąg L0. Maglev jest też technologią znacznie cichszą i wymagającą mniejszych inwestycji w tabor. A to dlatego, że ruch odbywa się bez tarcia (nie następuje więc zużycie części). Może więc chodzi o estetykę i niechęć do budowania w centrach miast nowych dużych estakad? Tyle że przecież takie elementy krajobrazu (od Berlina po Chicago) już istnieją i są nawet uważane za klimatyczne części miejskiego pejzażu.

Nie będę oszukiwał, że znam odpowiedź na pytanie o fiasko lewitujących pociągów. Szczerze mówiąc, nie jestem wcale pewien, czy to faktycznie jest ostateczne fiasko, czy może raczej chwilowe wstrzymanie pochodu technologii, która wszystko ma jeszcze przed sobą. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność"

Nierówności czy demografia – co obniża stopę procentową

Naturalna stopa procentowa, utrzymująca się na stałym poziomie od ok. 200 lat, spadła dziś poniżej 1 proc. Niemal niemożliwe jest ulokowanie kapitału w bezpiecznym aktywie i dostatnie życie z odsetek

Łukasz Krzempek

Autor jest ekonomistą GRAPE

Procent towarzyszy nam od wieków – i od początków ekonomii jako nauki stanowi niewyczerpane źródło pytań badawczych. Jedno z najważniejszych brzmi: co jest przyczyną gwałtownego spadku naturalnej stopy procentowej?

Przez dekady wolna od ryzyka stopa zwrotu z kapitału utrzymywała się na stałym – wysokim z dzisiejszego punktu widzenia – poziomie. W XIX w. zgromadzenie kapitału tak dużego, żeby móc się utrzymać, ulokowanego zazwyczaj w ziemi lub obligacjach, było głównym celem kupców czy bogatszych rzemieślników. Zwrot z kapitału był stabilny – tak stabilny, że, jak lubi przywoływać Thomas Piketty, przeliczanie między wielkością kapitału a roczną rentą było oczywiste nawet dla ludzi bez wykształcenia – wystarczyło podzielić kwotę przez 20, jako że pięcioprocentowy zwrot stanowił ów złoty standard.

Od lat 70. ubiegłego wieku mamy z tamtymi realiami coraz mniej wspólnego. Naturalna stopa procentowa, utrzymująca się na stałym poziomie od ok. 200 lat, spadła dziś poniżej 1 proc. Niemal niemożliwe jest ulokowanie kapitału w bezpiecznym aktywie i dostatnie życie z odsetek. Aby uzyskać wyższy zwrot, konieczne jest ponoszenie ryzyka, od którego rentierzy stronili jak od ognia.

Atif Mian (Uniwersytet Princeton i NBER), Ludwig Straub (Uniwersytet Harvarda i NBER) i Amir Sufi (Uniwersytet Chicagowski i NBER) podjęli się zważenia wpływu dwóch najważniejszych hipotez tłumaczących ten stan rzeczy. Pierwsza głosi, że za spadek stopy procentowej odpowiadają rosnące nierówności dochodowe. Wraz z dochodem rośnie skłonność do oszczędzania, co najlepiej widać na skrajnych przykładach: najmniej zarabiający nie mają z czego odkładać, bo wydają cały dochód na utrzymanie, podczas gdy właściciele i udziałowcy dużych firm reinwestują niemal całe zyski. Wzrost nierówności, sprawiający, że większa część dochodu trafia w ręce najbogatszych, skutkuje zatem przesunięciem wydatków z konsumpcji na inwestycje. Zwiększony popyt na aktywa podnosi ich cenę, która jest tożsama z odwrotnością stopy procentowej.

Druga teoria odwołuje się do znaczenia zmian demograficznych, a konkretnie starzenia się społeczeństw. Według niej średnio w społeczeństwie ludzie młodzi są pożyczkobiorcami netto (nie mają zakumulowanego kapitału, mogą się spodziewać wyższych dochodów w przyszłości), zaś starsi – pożyczkodawcami (znaczącym komponentem są oszczędności emerytalne). W rezultacie kiedy kolejne kohorty są coraz mniejsze, zmniejsza się popyt na kredyt, a rośnie jego podaż. Tym samym stopa procentowa, czyli cena kredytu, spada.

By odpowiedzieć na pytanie, która z tych przyczyn odegrała decydującą rolę, autorzy sięgnęli do przekrojowych danych: Survey of Consumer Finances – ankiety śledzącej finansowe losy reprezentatywnych próbek amerykańskich gospodarstw domowych. Pozwala ona zyskać wgląd w to, jak przez lata kształtują się dochody, oszczędności i aktywa kolejnych pokoleń.

Badacze przyjrzeli się, jak zmieniały się w czasie stopy oszczędności poszczególnych kohort oraz najlepiej zarabiających 10 proc. w ramach danej kohorty, dzięki czemu potwierdzili zarówno hipotezę, że bogatsi oszczędzają więcej, jak i tę, że najwyższa stopa oszczędności cechuje grupę wiekową 45–64 lata. Zestawiali oni następnie udział grupy 45–64 lata w całości populacji, a także udział dochodów najlepiej zarabiających 10 proc. społeczeństwa w całości dochodu z poziomem naturalnej stopy procentowej w latach 1960–2020. Rezultat daje silny argument na rzecz tezy o roli nierówności – o ile pierwszy czynnik okazuje się zaledwie luźno związany ze stopą procentową, o tyle w przypadku drugiego korelacja wynosi niemal 75 proc.

Wnioski te niosą ze sobą istotne implikacje zarówno dla prognoz gospodarczych, jak i ekonomistów. W pierwszym przypadku należy się spodziewać, że stopa procentowa pozostanie niska – przynajmniej dopóki nie zostaną podjęte działania na rzecz redukcji nierówności. Gdyby decydujący był komponent demograficzny, należałoby przewidywać, że wraz z przechodzeniem na emeryturę szczególnie licznych kohort z powojennego wyżu demograficznego (baby boom) struktura oszczędności, a za jej sprawą stopa procentowa, powróci do dawnego poziomu.

Ekonomiści z kolei dostają następny silny argument na rzecz istotności nierówności nie tylko dla kwestii sprawiedliwości społecznej, tradycyjnie pozostawianej na boku jako sfera normatywna, lecz także dla zagregowanych zmiennych makroekonomicznych, które w ujęciu neoklasycznym zwykło się analizować w oderwaniu od struktury dochodów i majątków. ©℗

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Czy da się osiągnąć zysk bez ryzyka"

eprasa.pl 3965647923

Strefa Gospodarki
BIZNES MAGAZYN
DODATEK INFORMACYJNO-PROMOCYJNY www.strefa-gospodarki.pl NR 5 (137) 23 października 2026 r.

REKLAMA



Społeczne Inicjatywy Mieszkaniowe (SIM) – konsekwentni w realizacji kolejnych inwestycji

Trzecia edycja Ogólnopolskiego Rankingu Społecznych Inicjatyw Mieszkaniowych nie przyniosła zmian na podium w porównaniu z minionym rokiem. Gratulujemy SIM Podkarpacie ponownej obrony pozycji Lidera, a także zajmującym kolejne jego stopnie SIM Małopolska i SIM Północne Mazowsze. Słowa uznania należą się spółce SIM Lubelskie, która w pierwszym roku uczestnictwa w Rankingu uplasowała się na wysokim 5. miejscu, a także SIM „KZN-Zachodniopomorskie" za poprawę ubiegłorocznej lokaty. W tym roku nieobsadzone pozostało 9. miejsce w zestawieniu: uczestnik sklasyfikowany na tej pozycji nie zgodził się na ujawnienie swoich danych.
Zapraszamy do zapoznania się z tabelą rankingową, komentarzami Prezesów wybranych SIM-ów oraz z szerszymi prezentacjami na **www.strefa-gospodarki.pl**



■ **Krzysztof Mazur**, Prezes Zarządu SIM Podkarpacie Sp. z o.o.:

Trzecie z rzędu zwycięstwo w Ogólnopolskim Rankingu Społecznych Inicjatyw Mieszkaniowych potwierdza skuteczność przyjętej strategii. W ciągu ponad pięciu lat zakończyliśmy inwestycje obejmujące 474 mieszkania, a kolejne 246 jest w realizacji. Pozyskaliśmy około 130 mln zł finansowania z BGK oraz ponad138 mln zł grantów. Za tymi wynikami stoi konsekwentna praca całego zespołu i współpraca z dziewięcioma samorządami. W budownictwie społecznym kluczowe są stabilność zarządzania, ciągłość inwestycji i wiarygodność wobec instytucji finansujących. Naszą ambicją jest nie tylko budowanie kolejnych mieszkań, lecz tworzenie trwałego systemu mieszkalnictwa społecznego, który będzie służył mieszkańcom przez dziesięciolecia.

■ **Michał Lysy**, Prezes Zarządu SIM Małopolska Sp. z o.o.:

Utrzymanie drugiego miejsca w ogólnopolskim rankingu SIM potwierdza, że konsekwentnie realizujemy strategię rozwoju budownictwa społecznego w Małopolsce. Nasza praca już kolejny raz została doceniona w ogólnopolskim rankingu SIM – trzykrotnie znaleźliśmy się w jego ścisłej czołówce. To także efekt bardzo dobrej współpracy z samorządami i KZN. W ciągu pięciu lat działalności oddaliśmy 7 inwestycji obejmujących 387 mieszkań, a 9 kolejnych projektów jest obecnie w realizacji. Po ich ukończeniu do dyspozycji mieszkańców będzie już blisko 700 mieszkań. Pracujemy też nad kolejnymi inwestycjami, dzięki którym liczba lokali w naszym zasobie przekroczy tysiąc. Rozwijamy działalność zarówno w większych ośrodkach, jak i mniejszych miejscowościach, odpowiadając na potrzeby lokalnych społeczności.

■ **Mariusz Wilk**, Prezes Zarządu SIM Lubelskie Sp. z o.o.:

Debiut i od razu 5 miejsce to dla nas ogromna satysfakcja, ale przede wszystkim potwierdzenie, że ostatnie dwa lata to czas skutecznej pracy. W tym okresie przeszliśmy od przygotowywania inwestycji do ich realnej realizacji. Dziś prowadzimy budowy w 7 gminach, a kolejne inwestycje wchodzą w fazę realizacji. Równolegle przygotowujemy następne projekty i postępowania przetargowe. Za tym tempem stoją również działania finansowe. Pozyskujemy środki z Funduszu Dopłat i zapewniamy finansowanie kredytowe dla kolejnych przedsięwzięć. Ten wynik jest efektem pracy zespołu SIM Lubelskie oraz zaufania i dobrej współpracy 17 gmin będących naszymi wspólnikami oraz KZN. Dziękuję wszystkim, którzy każdego dnia dokładają swoją cegiełkę do tego wspólnego sukcesu. Ten wynik motywuje nas, by dalej rozwijać spółkę i dostarczać mieszkańcom Lubelszczyzny kolejne dostępne cenowo mieszkania.

■ **Tomasz Trun**, Prezes Zarządu SIM „KZN-Zachodniopomorskie" Sp. z o.o.:

Szóste miejsce jest potwierdzeniem, że przyjęty przez nas sposób działania przynosi efekty. W ciągu niespełna pięciu lat przeszliśmy od etapu organizowania spółki i przygotowywania pierwszych projektów do realizacji mieszkań, które mają już swoich najemców oraz prowadzenia kolejnych inwestycji w wielu gminach województwa. Naszą mocną stroną jest różnorodność – potrafimy odpowiadać zarówno na potrzeby mniejszych samorządów, jak i realizować większe projekty, czego dobrym przykładem jest Koszalin. Ważne jest dla nas także to, że nie koncentrujemy się wyłącznie na liczbie mieszkań. Liczy się jakość przygotowania projektów, odpowiedzialne gospodarowanie środkami i dobra współpraca z samorządami. Takiego tempa rozwoju nie dałoby się osiągnąć bez kompetentnego i zaangażowanego zespołu. To właśnie ludzie tworzący spółkę są jednym z najważniejszych elementów naszego sukcesu.

■ **Jan Stocki**, Prezes Zarządu SIM KZN Kujawy i Pomorze Sp. z o.o.:

10. miejsce w ogólnopolskim rankingu to dla nas ogromna satysfakcja i potwierdzenie, że obraliśmy właściwy kierunek. To nie jest przypadek, lecz efekt konsekwentnej pracy, determinacji i wspólnego zaangażowania całego zespołu oraz nienagannej współpracy z samorządami. Za tym wynikiem stoją konkretne działania – przygotowywanie kolejnych inwestycji, pozyskiwanie terenów i finansowania oraz tworzenie przejrzystych zasad dostępności mieszkań. Dziękuję naszym gminom będącym udziałowcami, pracownikom i partnerom za zaufanie i zaangażowanie. To wyróżnienie nie jest dla nas metą, ale impulsem do dalszego działania. Chcemy realizować kolejne inwestycje i konsekwentnie zwiększać dostępność nowoczesnych, komfortowych mieszkań dla mieszkańców naszego regionu.

1.	SIM Podkarpacie Sp. z o.o.
2.	SIM Małopolska Sp. z o.o.
3.	SIM Północne Mazowsze Sp. z o.o.
4.	SIM Zagłębie Sp. z o.o.
5.	SIM Lubelskie Sp. z o.o.
6.	SIM „KZN-Zachodniopomorskie" Sp. z o.o.
7.	SIM Opolskie Sp. z o.o.
8.	SIM KZN Reymontowski Sp. z o.o.
9.	
10.	SIM KZN Kujawy i Pomorze Sp. z o.o.

Da Grasso

Co sprawia, że klienci wracają? Da Grasso z tytułem Konsumenckiego Lidera Jakości 2026!

Na rynku gastronomicznym nie wystarczy już tylko smaczna pizza. Klienci zwracają uwagę również na wygodę zamawiania, różnorodność oferty i doświadczenia związane z wizytą w restauracji. Dla sieci działających w całej Polsce wyzwaniem jest połączenie tych oczekiwań i zapewnienie spójnego poziomu obsługi w wielu lokalizacjach. Da Grasso pokazuje, że potrafi odnaleźć się w tych realiach. Polska sieć pizzerii zdobyła I miejsce w kategorii „Pizzerie sieciowe" w programie Konsumencki Lider Jakości 2026.

Co stoi za popularnością Da Grasso?
Wyróżnienie przyznano na podstawie ogólnopolskich badań opinii konsumentów, w których wzięło udział ponad 15 tysięcy respondentów oceniających marki i produkty z różnych kategorii. Dla Da Grasso zdobycie pierwszego miejsca jest szczególnie ważne, ponieważ o wyniku zdecydowały opinie samych klientów.
Sieć od lat stawia na różnorodność oferty, łącząc klasyczne pizze z bardziej rozbudowanymi kompozycjami smakowymi. Jej znakiem rozpoznawczym pozostają również charakterystyczne sosy podawane do pizzy. Jednocześnie marka rozwija sposób obsługi klientów, łącząc tradycyjne restauracje z możliwością zamawiania jedzenia online i z dostawą. To odpowiedź na zmieniające się przyzwyczajenia konsumentów, którzy coraz częściej oczekują swobody wyboru nie tylko tego, co zjedzą, ale również gdzie i w jaki sposób zamówią posiłek.

Ponad 200 restauracji. Jak rozwija się Da Grasso?
Za rozpoznawalnością Da Grasso stoi również skala działalności. Sieć liczy ponad 200 restauracji w Polsce, a jej rozwój opiera się na modelu franczyzowym. Oznacza to, że za funkcjonowanie poszczególnych lokali odpowiadają lokalni przedsiębiorcy, którzy prowadzą własny biznes pod szyldem ogólnopolskiej marki.
– *Franczyza pozwala nam rozwijać działalność w kolejnych miastach, a lokalnym przedsiębiorcom prowadzić restauracje pod rozpoznawalnym szyldem. Wspólne standardy, systemy zamówień i działania marketingowe pomagają zachować spójność oferty w całej sieci, podczas gdy franczyzobiorcy odpowiadają za codzienne funkcjonowanie poszczególnych lokali* – mówi **Mateusz Przygoński**, Head of Expansion Da Grasso.

Franczyza jako sposób na własny biznes
Da Grasso nieustannie rozwija sieć i poszukuje kolejnych przedsiębiorców zainteresowanych prowadzeniem restauracji. W ramach współpracy franczyzowej partnerzy otrzymują wsparcie zarówno na etapie przygotowania i otwarcia lokalu, jak i podczas codziennej działalności. Mogą korzystać m.in. z pomocy w wyborze lokalizacji, szkoleń oraz rozwiązań operacyjnych wypracowanych przez sieć.
– Oferujemy również możliwość dofinansowania do 50% początkowych kosztów inwestycji. To istotne wsparcie dla przedsiębiorców, którzy chcą rozpocząć działalność w branży gastronomicznej i rozwijać własny biznes pod szyldem rozpoznawalnej marki – dodaje Mateusz Przygoński.

Zaufanie, na które pracuje cała sieć
Zdobycie tytułu Konsumenckiego Lidera Jakości 2026 to nie tylko potwierdzenie zaufania klientów do Da Grasso, ale przede wszystkim wspólny sukces wszystkich osób tworzących sieć. Za tym wyróżnieniem stoi codzienna praca franczyzobiorców, pracowników restauracji oraz zespołu centrali, którzy wspólnie dbają o jakość oferty i standardy obsługi w lokalach w całej Polsce. To właśnie ich zaangażowanie i współpraca mają kluczowe znaczenie dla budowania długofalowych relacji z klientami i dalszego rozwoju marki.

Strefa Gospodarki BIZNES MAGAZYN
Redaktor naczelny: Grzegorz Kozicki • **Wydawca:** Strefa Biznesu Media Centrum s.c., ul. Uniwersytecka 13, 40-007 Katowice • **NIP: 634-276-78-48** • **tel. 574 451 100** • **e-mail: redakcja@strefa-gospodarki.pl** Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania w nadesłanych materiałach zmian tytułów, skrótów, poprawek stylistyczno-językowych oraz innych przeróbek technicznych.

eprasa.pl 3965647923

SIM Podkarpacie. Trzy razy najlepsi w Polsce

474 wybudowane mieszkania, kolejne 246 w realizacji, blisko 275 mln zł wartości inwestycji zakończonych i realizowanych oraz ponad 1,5 tys. mieszkań w całym portfelu inwestycyjnym. Społeczna Inicjatywa Mieszkaniowa SIM Podkarpacie sp. z o.o. po raz trzeci z rzędu zwyciężyła w Ogólnopolskim Rankingu Społecznych Inicjatyw Mieszkaniowych.

Pięć lat konsekwentnego rozwoju

SIM Podkarpacie powstała w 2021 roku z inicjatywy siedmiu samorządów. Dziś skupia dziewięciu wspólników samorządowych, tworząc profesjonalną platformę przygotowania, finansowania i realizacji budownictwa społecznego.

W ciągu ponad pięciu lat zakończyła pięć inwestycji: w Sędziszowie Małopolskim, Nowej Sarzynie, Niżnej Łące, Boguchwale i Dynowie. Łącznie powstały 474 mieszkania o wartości około 174 mln zł. Według KZN do końca września 2026 r. w przedsięwzięciach z jego udziałem oddano 3 715 mieszkań. Dorobek SIM Podkarpacie stanowi blisko 13% tej liczby, co obrazuje skalę działalności spółki na tle kraju. Równolegle realizowane są kolejne inwestycje: 60 mieszkań w Leżajsku, 60 w Jarosławiu oraz 126 w drugim etapie Sędziszowa Małopolskiego. To następne 246 mieszkań o wartości blisko 100 mln zł.



Finansowanie i odpowiedzialność

SIM Podkarpacie pozyskała około 130 mln zł finansowania kredytowego z Banku Gospodarstwa Krajowego oraz ponad 138 mln zł bezzwrotnego wsparcia publicznego w formie grantów.

Umiejętność łączenia różnych źródeł finansowania pozwala realizować mieszkania na wynajem o społecznym charakterze. W zakończonych inwestycjach czynsze kształtują się na poziomie około 20-22 zł/m² miesięcznie. Spółka uwzględnia również koszty późniejszej eksploatacji budynków, stosując w wybranych przedsięwzięciach pompy ciepła, fotowoltaikę i magazyny energii.

Ponad 800 kolejnych mieszkań w planach

Największym przygotowywanym przedsięwzięciem jest Boguchwała II – 702 lokale w 11 budynkach. Inwestycja posiada pozwolenie na budowę, gmina przeprowadziła nabór przyszłych najemców, a SIM Podkarpacie przygotowuje postępowanie przetargowe.

W planach znajdują się również Wietrzychowice z 12 mieszkaniami i Sokołów Małopolski z 88 lokalami. Łącznie przedsięwzięcia zakończone, realizowane i planowane obejmują 1 522 mieszkania.

Potwierdzona pozycja lidera

SIM Podkarpacie pozostaje niepokonanym liderem Ogólnopolskiego Rankingu Społecznych Inicjatyw Mieszkaniowych, zwyciężając nieprzerwanie od pierwszej jego edycji w 2024 roku. Ranking organizuje redakcja „Strefy Gospodarki", niezależny, ogólnopolski dodatek ukazujący się na łamach „Dziennika Gazety Prawnej".

– *Naszym celem od początku było nie tylko budowanie mieszkań, lecz stworzenie organizacji zdolnej do prowadzenia wielu inwestycji równocześnie* – podkreśla **Krzysztof Mazur**, prezes zarządu SIM Podkarpacie. – *Trzy zwycięstwa są potwierdzeniem skuteczności całego zespołu i współpracy z samorządami. W budownictwie społecznym fundamentalne znaczenie mają stabilność zarządzania, konsekwencja i wiarygodność wobec instytucji finansujących. Dzięki nim możemy zamieniać ambitne plany w rzeczywiste inwestycje.*

Po ponad pięciu latach działalności SIM Podkarpacie pokazuje, że skuteczność budownictwa społecznego mierzy się nie liczbą zapowiedzi, lecz gotowymi mieszkaniami i zdolnością do realizowania kolejnych przedsięwzięć.

SPOŁECZNA INICJATYWA MIESZKANIOWA PODKARPACIE

REKLAMA



REKLAMA



REKLAMA



eprasa.pl 3965647923

Więzi, które mają znaczenie

Kompania Piwowarska otrzymała tytuł Odpowiedzialny Pracodawca – Lider HR 2026 w ogólnopolskim programie, którego głównym kryterium jest jakość zatrudnienia. To nie pierwszy taki sukces lidera polskiego rynku piwa. W Randstad Employer Brand Research 2024 firma zajęła drugie miejsce wśród najbardziej atrakcyjnych pracodawców w Polsce i – po raz piąty – pierwsze w branży FMCG.

Rozmowa z **WOJCIECHEM MOLIŃSKIM**, Wiceprezesem ds. Personalnych Kompanii Piwowarskiej



Za tymi wyróżnieniami stoi liczba, która mówi więcej niż niejeden ranking: rotacja dobrowolna pracowników w Kompanii Piwowarskiej utrzymuje się poniżej 4%. W firmie zatrudniającej blisko 2500 osób w trzech browarach i biurach sprzedaży w całej Polsce to wynik wyjątkowy. O tym, co sprawia, że ludzie zostają tu na lata, rozmawiamy z **Wojciechem Molińskim**, który od 2008 roku odpowiada w Kompanii Piwowarskiej za obszar HR.

Odpowiedzialność, stabilność i ludzie

– Jak przyjęliście Państwo informację o wyróżnieniu? Czym dla Państwa jest hasło „Odpowiedzialny Pracodawca" … i czy to się opłaca?

– Z ogromną satysfakcją, ale też z pokorą. To nie jest nasze pierwsze wyróżnienie tego typu, więc traktujemy je jako potwierdzenie, że nie chodzi o jednorazowy sukces, tylko o konsekwencję. Szczególnie cieszy nas to, że program ocenia jakość zatrudnienia całościowo – od przestrzegania prawa pracy i zasad BHP, przez rozwój zawodowy i system motywacyjny, po społeczną odpowiedzialność biznesu.

Odpowiedzialny pracodawca to dla mnie firma, która dotrzymuje słowa – wobec pracowników, ich rodzin, społeczności lokalnych i środowiska. U nas ma to bardzo konkretny wymiar. Dbamy o sprawiedliwy system wynagrodzeń, o których decydują wyniki pracy, wiedza i doświadczenie, nie płeć. Opieka medyczna obejmuje także rodziny pracowników. Każdy ma dwa płatne dni wolne na wolontariat czy szczepienie, a urlop ojcowski wydłużyliśmy o dwa tygodnie, w pełni finansowane przez firmę.

Czy to się opłaca? Tak. Rotacja dobrowolna poniżej 4% to dla organizacji naszej skali wynik wyjątkowy. Każda osoba, która zostaje, zatrzymuje w firmie wiedzę, relacje z klientami i znajomość procesów. To przekłada się na jakość, efektywność i wyniki – a te mamy dobre: od lat jesteśmy liderem polskiego rynku piwa z ponad 30-procentowym udziałem.

– Jakie jest znaczenie „kapitału ludzkiego" w firmie działającej w tak specyficznej branży jak Państwa?

– Kluczowe. Piwo to produkt, za którym stoją ludzie i ich rzemiosło. Nasze browary mają wielowiekową historię: Browar Dojlidy działa od 1628 roku, Tyskie Browary Książęce od 1629, a Lech Browary Wielkopolski od 1895. Wiedza piwowarska przechodzi z pokolenia na pokolenie i nie da się jej kupić z dnia na dzień.

Jednocześnie działamy w branży mocno regulowanej, sezonowej i bardzo konkurencyjnej. Technologię można skopiować, ludzi – nie. Dlatego ludzie są naszą najtrwalszą przewagą.

– Wiem, że pracuje Pan w Kompanii Piwowarskiej nie od wczoraj. Które decyzje z przeszłości uważa Pan za kluczowe dla obecnego sukcesu firmy?

– Wskazałbym trzy. Pierwsza to decyzja, by zrównoważony rozwój był częścią strategii biznesowej, a nie dodatkiem do niej. Ludzie chcą pracować w firmach, które mają wartości i działają zgodnie z nimi.

Druga to konsekwentne inwestowanie we własne talenty. Ilość dni szkoleniowych na pracownika to u nas prawie 4 dni. Nasz program mentoringowy objął już ponad 300 osób. Wielu dzisiejszych liderów, w tym członków zarządu, zaczynało u nas karierę od niższych stanowisk.

Trzecia to odwaga, by budować kulturę różnorodności i włączania. Platforma „Lśnij własnym blaskiem", równość wynagrodzeń i otwartość na różne perspektywy sprawiają, że każdy może być u nas sobą. To ważne także dlatego, że przeszliśmy przez zmiany właścicielskie. W każdym z tych momentów stawialiśmy na otwartą komunikację i ciągłość, a pracownicy wiedzieli, na czym stoją.

Kultura, pokolenia i powody, by dołączyć

– Jak zmieniła się kultura organizacyjna firmy na przestrzeni ostatnich lat?

– Przeszliśmy drogę od kultury bardziej hierarchicznej do partnerskiej i otwartej. Dużo mocniej niż kiedyś dbamy też o dobrostan i stoją za nim konkretne działania: wsparcie psychologiczne, programy prozdrowotne i opieka medyczna dla pracowników oraz ich bliskich.

– Czym staracie się przyciągnąć nowych pracowników? Dlaczego warto pracować w Kompanii Piwowarskiej?

– Po pierwsze – stabilnością. Jesteśmy liderem rynku i częścią globalnej Grupy Asahi. W czasach niepewności to argument, który ma ogromne znaczenie, a nasza niska rotacja pokazuje, że ludzie to doceniają.

Po drugie – rozwojem. Mentoring, programy rozwojowe i szkoleniowe oraz możliwość kariery także w międzynarodowych strukturach grupy otwierają ścieżki, których trudno szukać gdzie indziej.

Po trzecie – i to często zaskakuje kandydatów – satysfakcją z pracy. Pracujemy z markami, które są częścią polskiej kultury: Lech, Tyskie, Żubr, Książęce, a także Kozel czy Peroni. Tworzymy je lokalnie, od A do Z, a nasze kampanie regularnie zdobywają nagrody, m.in. Effie. Branża piwna ciągle się zmienia – w 2024 roku sprzedaliśmy najwięcej piw bezalkoholowych w Polsce. Kto lubi, gdy praca ma smak i charakter, odnajdzie się u nas świetnie.

Kompetencje i przyszłość

– W jaki sposób firma adaptuje swoje programy szkoleniowe do dynamicznie zmieniającego się rynku?

– Rynek piwa zmienia się szybciej niż kiedykolwiek. Rośnie znaczenie piw bezalkoholowych – w 2024 roku odpowiadały już za ponad 7,7% naszej sprzedaży. Zmieniają się kanały sprzedaży, zrównoważony rozwój staje się częścią codziennej pracy: około 37% energii potrzebnej do produkcji naszego piwa pochodzi ze źródeł odnawialnych, właśnie otworzyliśmy nowy automatyczny magazyn wysokiego składowania. Każda z tych zmian wymaga nowych kompetencji.

Dlatego zamiast sztywnych katalogów szkoleń stawiamy przede wszystkim na rozwój powiązany z realnymi wyzwaniami biznesu. Łączymy szkolenia techniczne w browarach, programy przywódcze, mentoring i naukę w projektach.

– Jakich pracowników poszukujecie? Jakie kompetencje są w Kompanii Piwowarskiej szczególnie cenione?

– Najlepiej odpowiadają na to wartości Kompanii Piwowarskiej. Szukamy ludzi z pasją, którzy biorą odpowiedzialność za swoje działania, traktują innych z szacunkiem i stawiają człowieka w centrum oraz potrafią wygrywać razem z zespołem.

Poza wartościami cenimy ciekawość i gotowość do ciągłej nauki, umiejętność pracy z danymi oraz zrozumienie konsumenta. W produkcji i logistyce coraz ważniejsze są kompetencje techniczne związane z automatyzacją i utrzymaniem ruchu. W sprzedaży i marketingu – budowanie relacji i kreatywność połączona z myśleniem biznesowym. Wiedzę branżową możemy przekazać. Postawy trudniej się nauczyć.

– Jak Pana zdaniem będzie wyglądało środowisko pracy w tej firmie za kolejne 5 lub 10 lat? Jakie są najważniejsze wyzwania stojące przed Państwem?

– Będzie bardziej cyfrowe i elastyczne. Automatyzacja, analityka danych i sztuczna inteligencja zmienią wiele stanowisk – od linii produkcyjnych po sprzedaż. Nie zmieni się jedno: piwo nadal będą warzyć piwowarzy, a relacje z klientami i konsumentami nadal będą budować ludzie.

Wyzwań widzę kilka. Demografia oznacza rosnącą konkurencję o talenty, zwłaszcza w obszarach technicznych. Zmieniające się nawyki konsumentów i otoczenie regulacyjne wymagają od nas szybkiej adaptacji.

Jestem jednak spokojny. Jeśli utrzymamy to, co dziś jest naszą siłą – zaufanie, stabilność i atmosferę, w której ludzie chcą zostawać – poradzimy sobie z każdą zmianą.

– Dziękuję za rozmowę.

KOMPANIA PIWOWARSKA

REKLAMA



REKLAMA



REKLAMA



eprasa.pl 3965647923

Spółdzielnie Mleczarskie – stabilny rozwój i konkurencyjność

Za nami tegoroczna edycja Ogólnopolskiego Rankingu Najlepszych Spółdzielni Mleczarskich. Pozycję Lidera obroniła po raz kolejny MLEKOVITA w Wysokiem Mazowieckiem, wyprzedzając OSM w Łowiczu oraz Spółdzielnię Mleczarską MLEKPOL w Grajewie. Podium, podobnie jak w 2025 roku, zamyka OSM we Włoszczowie. Gratulujemy wszystkim laureatom tegorocznej edycji Rankingu, kierując jednocześnie specjalne słowa uznania w kierunku OSM w Rawiczu, która w roku swojego debiutu w ogólnopolskiej rywalizacji zajęła wysoką 5. pozycję. Zapraszamy do zapoznania się z tabelą rankingową oraz wizytówkami laureatów w wydaniu gazetowym oraz na **www.strefa-dospodarki.pl**



Dariusz Sapiński, Prezes Zarządu Grupy Mlekovita:

Z ogromną satysfakcją przyjąłem informację o 1. miejscu w tegorocznym Ogólnopolskim Rankingu Najlepszych Spółdzielni Mleczarskich. Utrzymanie pozycji lidera kolejny rok z rzędu to jasny sygnał, że nasza długofalowa strategia, najwyższa jakość produktów oraz innowacyjność przynoszą oczekiwane rezultaty. To potwierdzenie siły naszej marki, stabilnego rozwoju i sukces całej naszej społeczności: pracowników, dostawców i zaufania konsumentów. Jako największa grupa mleczarska w Europie Środkowo-Wschodniej nieustannie rozwijamy naszą bazę produkcyjno-dystrybucyjną i bogate portfolio produktów, skutecznie reprezentując polskie rolnictwo na rynkach całego świata. Ten tytuł motywuje nas do dalszego dynamicznego rozwoju.

Jacek Myślecki, Prezes Zarządu OSM w Rawiczu:

Gratuluję udziałowcom i pracownikom zajęcia 5. miejsca, a jury odwagi, by przyznać je małej Spółdzielni skazanej wg trendu konsolidacji na przejęcie, bądź upadłość. Dziękuję za docenienie za odwagę udziałowców i pracowników, ratujących Spółdzielnię pomimo trudności i za promowanie tezy o strategicznie ważnej roli lokalnych spółdzielni dla bezpieczeństwa żywnościowego kraju. Możemy pochwalić się zdrowymi i naturalnymi wyrobami sięgającymi do tradycji manufaktury z 1887 roku, takimi jak znany od dziesięcioleci serek śmietankowy krówka, a także innowacyjnością GOZ zmieniającą odpad kwaśnej serwatki w kosmetyki premium Milky-Whey. Nasza Spółdzielnia jest głęboko związana z lokalną społecznością, angażując się w ważne inicjatywy związane z edukacją, wspieraniem wielu fundacji oraz promocją mleczarstwa jako ważnego i atrakcyjnego rynku pracy.

1.	MLEKOVITA w Wysokiem Mazowieckiem
2.	Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Łowiczu
	Spółdzielnia Mleczarska MLEKPOL w Grajewie
3.	Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska we Włoszczowie
4.	Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Piątnicy
5.	Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Rawiczu
	Spółdzielnia Mleczarska „Mazowsze” w Chorzelach

„Włoszczowa” na drodze inwestycyjnego rozwoju

Z **RYSZARDEM PIZIOREM**, Prezesem Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej we Włoszczowie, rozmawia Bogdan Leszczorz



– Kierowana przez Pana Spółdzielnia planuje wydać na inwestycje ok. 100 mln zł w perspektywie czteroletniej. Na co zostaną one przeznaczone i z jakich środków będą pochodziły?

– Skala realizowanych inwestycji w najbliższych pięciu latach może być jeszcze większa i pokazuje, że OSM Włoszczowa jest obecnie na bardzo ważnym etapie swojego rozwoju. Chcemy przede wszystkim zwiększać nasze możliwości produkcyjne, poprawiać efektywność procesów oraz przygotować zakład na dalszy rozwój. Inwestycje obejmą zarówno modernizację i rozbudowę infrastruktury produkcyjnej, jak również rozwiązania, które pozwolą nam ograniczać koszty energii i zwiększać automatyzację procesów.

Istotnym elementem będzie także rozwój zaplecza logistycznego oraz dalsza modernizacja zakładu. Przy tak dużym programie inwestycyjnym bardzo ważne jest odpowiednie rozłożenie przedsięwzięć w czasie i zachowanie bezpieczeństwa finansowego Spółdzielni. Inwestycje będą więc finansowane z kilku źródeł – przede wszystkim ze środków własnych, ale będziemy również korzystać z dostępnych programów wsparcia i finansowania zewnętrznego.

– Możecie pochwalić się systematycznym wzrostem skupu mleka o ok. 7% rocznie. Fakt ten oznacza z pewnością konieczność modernizacji infrastruktury towarzyszącej, w tym m.in. rozbudowę punktu odbioru mleka i kupna nowych autocystern. Jakie są zatem najbliższe plany w tym zakresie?

– Rosnący skup mleka jest dla nas bardzo dobrym sygnałem, ale jednocześnie stawia przed nami konkretne wyzwania organizacyjne i inwestycyjne. Musimy rozwijać nie tylko samą produkcję, ale również wszystkie elementy łańcucha, które pozwalają sprawnie przyjąć, schłodzić i przetworzyć mleko. Dlatego też aktualnie rozbudowujemy punkt odbioru mleka oraz stosownie do zapotrzebowania rozwijamy flotę transportową. Zakup kolejnych autocystern pozwoli nam zwiększyć elastyczność odbioru surowca i jeszcze lepiej organizować logistykę. Chcemy, aby rozwój bazy surowcowej szedł w parze z rozwojem infrastruktury.

Warto przy tym podkreślić, że wzrost skupu jest dla nas przede wszystkim efektem współpracy z naszymi dostawcami. To oni są fundamentem Spółdzielni. Naszym zadaniem jest stworzenie im stabilnych warunków współpracy i perspektywy dalszego rozwoju.

– OSM Włoszczowa uplasowała się już po raz kolejny w czołowej trójce Ogólnopolskiego Rankingu Najlepszych Spółdzielni Mleczarskich – serdeczne gratulacje za utrzymywanie wysokiego poziomu na skalę krajową. Sukces ten nie jest jednak jedynym w tym roku...

– Rzeczywiście, bardzo cieszą nas wyniki rankingu, ale traktujemy je przede wszystkim jako potwierdzenie, że obrana przez nas droga jest właściwa. Wysoka pozycja OSM Włoszczowa jest efektem pracy całej Spółdzielni – naszych pracowników, dostawców mleka oraz partnerów handlowych.

Ten rok jest dla nas szczególny również dlatego, że realizujemy kolejne przedsięwzięcia inwestycyjne i jednocześnie rozwijamy sprzedaż. Chcemy budować pozycję OSM Włoszczowa nie tylko poprzez skalę działalności, ale przede wszystkim poprzez jakość, efektywność i rozpoznawalność naszych produktów.

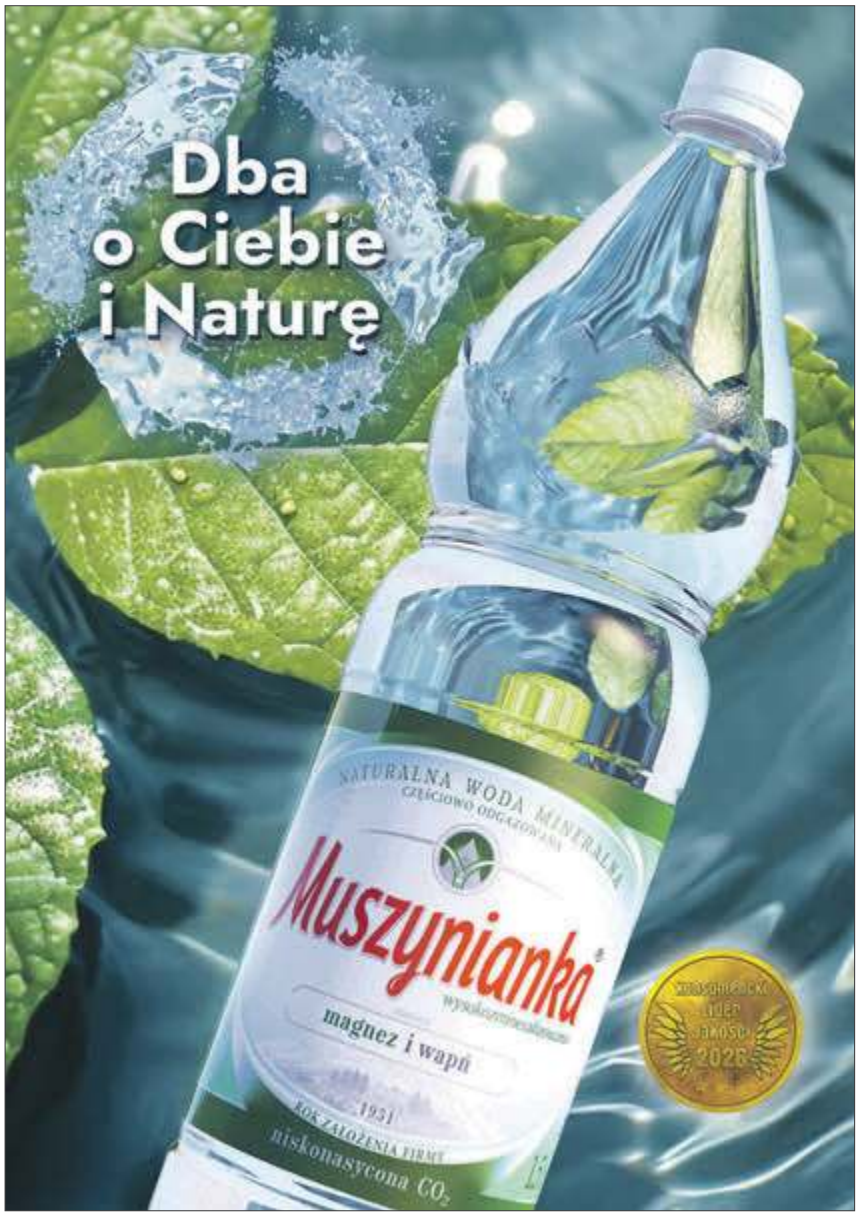
Naszym celem jest dalszy, stabilny rozwój. Nie chcemy rozwijać się za wszelką cenę. Chcemy inwestować w te obszary, które w perspektywie kolejnych lat pozwolą nam być bardziej konkurencyjną, nowoczesną i silną Spółdzielnią.

– Dziękuję za rozmowę.

REKLAMA



REKLAMA



eprasa.pl 3965647923